

FOLHA POLONÊSA

PRZEGŁAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA



Ano IV Outubro 1963

34



A SURPREENDENTE IBM ELÉTRICA

A Nova IBM Elétrica, resultado de mais de 30 anos de pesquisa de Engenharia e experiência de Fabricação, surpreende de imediato pela beleza de suas linhas. O mais importante, porém, é o seu extraordinário índice de funcionalidade, sua capacidade de produção... e conseqüente redução de despesas. Veja que características próprias: dispositivo Exclusivo de Cópias Múltiplas que permite a obtenção de 15 a 20 cópias de uma só vez... teclado ajustável, com toque Personalizado... o carro de deslizamento Silencioso de 13"... a tabulação rápida e suave com ação Desaceleradora... a nova ação da Tampa... e 23 outras realizações técnicas que resultam numa datilografia sem esforço, o que significa maior produção para você, com a Nova IBM Elétrica.



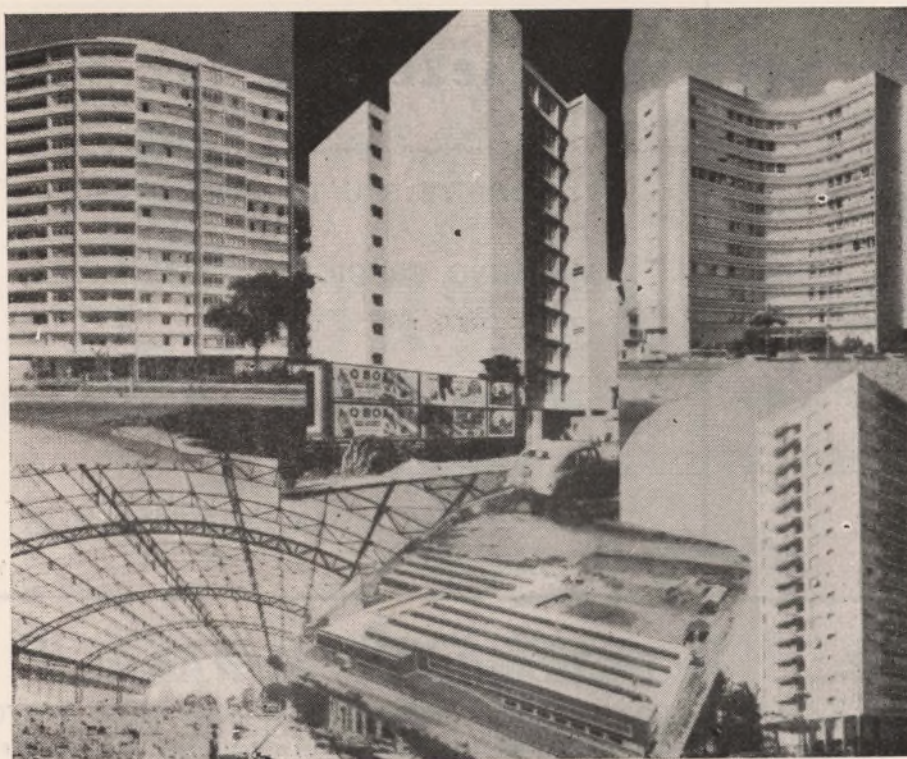
IBM

DO BRASIL LTDA. • DIVISÃO DE MÁQUINAS DE ESCRIVER ELÉTRICAS

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566

SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO



Construtora e Imobiliária Tresel S. A.

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO

"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-1471

São Paulo

**REBÔLOS
ESPECIAIS**

LIGAS:

- VITRIFICADA
- RESINOIDE
- GOMA-LACA

MBM

INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

P. K. O. — Warszawa

Tazab — London

Zastępstwo:

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praça da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

SÃO PAULO — BRASIL

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

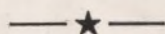
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJA

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Electr.: "COPINDUS"

SPRZEDAJE i PRZYJMUJE

W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

**CONSTRUÇÕES MECÂNICAS
ROZENOWICZ LTDA.**

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO incorpora nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Destilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
Cambugi

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

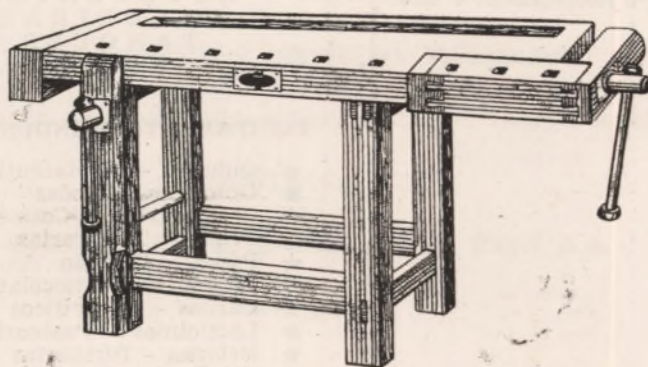
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p. Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

PASSAGENS AÉREAS O U MARÍTIMAS A PRAZO

Para qualquer parte do
BRASIL
e do
MUNDO
PELA COMPANHIA DE SUA
PREFERÊNCIA.

Vendas e Informações:

Agência Geral

"TOUR-BRASIL"

Avenida Ipiranga, 1129

Telefones:

37-8871

36-5402

36-1740

**PREPARAMOS A
DOCUMENTAÇÃO.**

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

**WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE**

SPIG

Sociedade Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo

RODOVIÁRIA
EXPRESSO

LEÃO LTDA.



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

São Paulo
Salvador
Recife

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMERICA
LATINA

FUNDADO EM 1920

**BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO**

Circulação

É O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

É O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TEM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANÁ

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA

WKRÓTCE NA EKRANACH
KIN BRAZYLIJSKICH

DWA FILMY POLSKIE:

“ENFRENTANDO A MORTE”

(BAZA LUDZI UMARŁYCH)

* * *

“ATENTADO”

(ZAMACH)

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

Prenumerując “Jednodniówkę” nie płacisz w dolarach. Wystarczy, że przyslesz używane znaczki pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy przysłać pod adresem:

B. A. Zaremba. 6481 E. Florence ave BELL GARDENS,
Cal. U. S. A.

REVOLUÇÃO NO LAR!

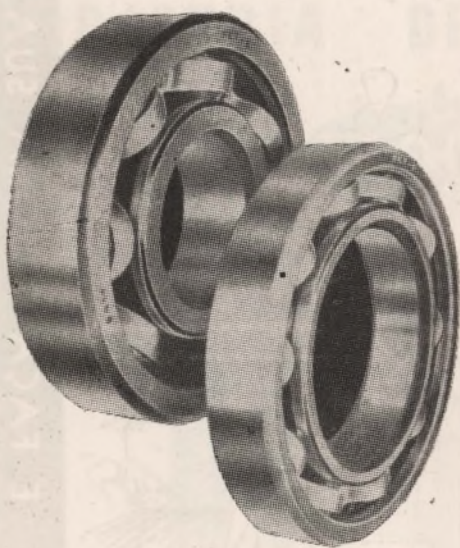
Agora luvas especiais

PARA DESCASCAR LEGUMES

- ECONÓMICO
- HIGIÉNICO
- RÁPIDO
- DESCASCA A PELE FINA APROVEITANDO AS VITAMINAS DE SUB-CASCA

BREVE NAS BOAS LOJAS DO RAMO!

A G U A R D E M !



CZY WIECIE, ŻE ŁOŻYSKA KULKOWE (rolamentos)
F. Ł. T. SĄ POSZUKIWANE PRZEZ FACHOWCÓW
TUTEJSZYCH ZARÓWNO NA TERENIE PÓŁNOCY,
JAK I POŁUDNIA BRAZYLII?

CZY WIECIE, ŻE ŁOŻYSKA KULKOWE F. Ł. T.
POLSKA EKSPORTUJE NA CAŁY ŚWIAT?

GDY POTRZEBNE CI SĄ ŁOŻYSKA KULKOWE KUPUJ TYLKO
ŁOŻYSKA F. Ł. T., GDYŻ PRÓCZ Dobrej JAKOŚCI SĄ ONE
POCHODZENIA POLSKIEGO.

DO NABYCIA W FIRMACH WYSPECJALIZOWANYCH.



POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA

CYWILIZOWANE BARBARZYŃSTWO

Miesięcznik jest w tej smutnej sytuacji, że aktualne problemy zmuszony jest omawiać ze znacznym opóźnieniem.

Zdarzają się jednak wypadki, które zapadają w pamięci ludzkiej nie na dnie i miesiące, ale na długie lata. Do nich na pewno należeć będzie dzień wrzucenia bomby do kościoła podczas nabożeństwa w mieście Birmingham — Alabama, zabicie czterech dziewczynek murzyńskich i ciężkie poranienie 24 dzieci.

Ukarano je za zbrodnie urodzenia się — czarnymi.

Po pierwszych występach rasistowskich gubernatora stanu Alabama, napisałem list do największego tygodnika amerykańskiego "TIME", w którym krótko powiedziałem, co myślę o akcji tego gubernatora. List zakończyłem propozycją, aby gubernatora George'a Wallace'a załadować wraz z jego gwardią chuliganów do samolotu i wysłać do Brazylii, gdzie będą mogli się dowiedzieć czym jest demokracja i czym wiara chrześcijańska.

Byłem z góry na to przygotowany, że "TIME" listu mego nie wydrukuję.

Tygodnik ten z wielką przyjemnością wydrukował list Polaka z São Paulo, poruszający zagadnienie uratowania starożytnej świątyni w Egipcie. Ratowanie ludzi, własnych obywateli, i obrona dobrego imienia Ameryki, nie zasłużyły na jego uwagę.

W miesiąc po wysłaniu wspomnianego listu, zamordowano dzieci w chwili, w której się modliły o sprawiedliwość na świecie i wzywały miłosierdzia Boskiego dla poniewieranych.

Aktem największego cynizmu było wyznaczenie nagrody pięciu tysięcy dolarów za ujęcie sprawców zbrodni. Nagrodę tę obiecał gangster odmawiający elementarnych praw obywatelskich Murzynom, podlegający do walk rasowych o przyszłość, gubernator George Wallace.

Zrozumiał on — nieco za późno, że poszedł za daleko.

Pomimo to, można być przekonany, że nagrodę tę wyznaczył z bólem serca. Jeśli się w ogóle modlił to zapewne, aby sprawców zbrodni nie znaleziono.

Do chwili, w której piszę te słowa, "energiczna" policja stanu Alabama nie potrafiła natrafić na ślad bandytów, wychowanych przez gubernatora.

Tragedia w Birmingham nie jest wyłącznie tragedią tego miasta.

Jest ona tragedią całych Stanów Zjednoczonych i walczącego o zniesienie segregacji rasowej prezydenta Kennedy'ego.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych, głosząca równość wszystkich obywateli, nie pomaga mu w tej walce.

W wielu dziedzinach, poszczególne stany mogą się rządzić jak im się podoba.

W jednym stanie można zatrasnąć drzwi przed nosem Murzyna, który chce się napić lemoniady w barze, w innym jest to niedopuszczalne.

Na rozwód w Chicago trzeba czekać latami, na Florydzie można go otrzymać w 24 godziny. W stanie przed rzeką, sadzą skazańca na krześle elektrycznym, w stanie za rzeką pakują go do komory gazowej.

O kilometr bliżej domy publiczne są zakazane, o kilometr dalej są najintryjniejszym przedsiębiorstwem.

Prawo ogranicza możliwość ingerencji prezydenta. Prawo ochrania gangstera gubernatora i daje mu możliwość popisów rasistowskich.

Człowiek, który jako właściwy zbrodniarz, powinien siedzieć w więzieniu i oczekiwać na posadzenie go na krześle elektrycznym lub załadowanie do komory gazowej, chodzi na wolności, wydaje odezwy i w myśl zawołania "łapaj złodzie-

ja", wyznacza nagrody za ujęcie morderców.

Gdy prezydent, doprowadzony do osłabienia, wysłał policję federalną do któregoś ze stanów dla utrzymania porządku podnoszą się protesty. "Zamach na naszą wolność!" — wyje gubernator Wallace.

Zbrodnie w Birmingham, nie tylko wstrząsnęły opinią światową, ale przejęła grozą przeważną część Amerykanów. Reakcja na nią jest bardzo silna.

Na koniec ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że nie można głosić hasła demokracji, wyciągając rękę ku nowo powstającym krajom afrykańskim, przodować światu w zmaganiach ekonomicz-

Dokończenie na str. 8

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość ..	str. 7 - 11
W świecie nauki ..	" 11 - 13
Przeszłość a teraźniejszość ..	" 14 - 15
Podróże — Przygoda ..	" 16 - 18
W Brazylii ..	" 18 - 19
Literatura i sztuka ..	" 20 - 24
Zagadnienia społeczne i gospodarcze ..	" 25
Rzeczy ciekawe ..	" 26 - 27
Na naszym podwórku ..	" 28
W starym kraju ..	" 29 - 30

Śmiejmy się! Kto wie, czy świat potrwa cztery lata...

Proszę czytelnika, żeby nie odłożył z obrzydzeniem tego artykułu, kiedy już w pierwszym zdaniu wyczyta nazwy: Chiny, Rosja. Temat ostatnio zgrany i ograny.

Pomiędzy Związkiem Radzieckim, a Chinami wykopano przepaść. Na Czerwonym Placu w Moskwie wyrzucono Stalina z mauzoleum, w Pekinie składa się oficjalnie wieńce przed jego pomnikami.

Wydaje się, iż blok komunistyczny przestał istnieć. Program obu obozów jest jasny: Rosja pragnie koegzystencji pokojowej, Chiny wojny atomowej, mającej ugotować drogę do rewolucji światowej.

W moim przekonaniu całe zagadnienie przesuwają się obecnie z platformy ideowej na platformę techniczną. Pytanie polega na tym ile czasu potrzeba, aby Chiny mogły rozpętać katastrofę światową przy pomocy bomb atomowych.

Pierwszy reaktor atomowy do wytwarzania plutonu 239 został wybudowany pod Pekinem przez techników radzieckich w r. 1955. Od r. 1958 reaktor ten pracuje pełną parą. Z początku produkował 7 lbm rocznie (bomba rzucona na Hiroshimę zawierała 15 lbm). W ubiegłym roku na obszarze Chin były już czynne trzy reaktory, a Mao Tse Tung oznajmił, iż poczyniono wielkie postępy w produkcji. Stało się to możliwe m. in. dlatego, że kierownikami prac przy tych reaktorach są naukowcy chińscy, wyszkoleni w zakładach atomowych przez... Stany Zjednoczone, skąd uciekli w odpowiedniej chwili. Zastąpili oni wydatnie techników radzieckich, którzy w roku 1960 zostali z Chin odwołani przy jednoczesnym przerwaniu dostaw rosyjskiego uranu dla Pekinu.

Od tego czasu Mao Tse Tung znalazł inne źródła dostaw.

Specjaliści brytyjscy i amerykańscy są zdania, że arsenał bomb potrzebny do otwarcia wrót setkom milionów Chińczyków i ruszenia na podbój świata może być gotów w ciągu najbliższych czterech lat. Uważają oni również, że pierwsza eksplozja próbnej chińskiej bomby atomowej nastąpi już pod koniec br., albo na początku przyszłego.

Wariaci mają czasem jasnowidzenia. Cesarz Wilhelm II przewidział już w r.

1912, że Chiny staną się w przyszłości najpoważniejszą groźbą dla świata. Przepowiednie jego powtarzają teraz ludzie zdrowi na umyśle.

Hasło Lenina: "Proletariusze wszystkich krajów — łączcie się!" uległo zmianie. Z Moskwy, Waszyngtonu i Londynu słychać obecnie wołanie: "Łączcie się ci, którzy żyć pragniecie!"

Potencjał zbrojeniowy i produkcja broni w Niemieckiej Republice Federalnej

Niemiecki militarystyka stopniowo krok za krokiem realizuje swe plany. Zachodni-niemiecki potencjał naukowo-techniczny i jego przemysł zbrojeniowy tworzą już teraz ważny element potencjału wojenno-ekonomicznego NATO. Produkcja zbrojeniowa staje się w NRF ważnym czynnikiem kształtującym ogólny rozwój gospodarczy kraju. Z tych to względów zasługuje ona na większą uwagę. Z militarnego punktu widzenia największe znaczenie mają prowadzone w NRF badania i prace konstrukcyjne w zakresie energii jądrowej, przemysłu raketowego i broni pancernej. Koncentracja wysiłku techniczno-ekonomicznego i kadrowego na tych odcinkach jest również dogodna dla przemysłowców zachodni-niemieckich z uwagi na brak rezerw siły roboczej. Poniżej dajemy krótki przegląd dziedzin, w których NRF podjęła produkcję zbrojeniową.

ENERGIA JĄDROWA

W latach 1956 - 1960 utworzono w Niemczech Zachodnich 20 instytutów fizyki jądrowej, 12 instytutów chemii i fizyko-chemii jądrowej, 29 laboratoriów izotopowych. Badania w tym zakresie popierane były wszechstronnie przez państwo. Od 1956 do 1960 r. z budżetu NRF i poszczególnych "krajów" wydatkowano około 980 mln DM na badania nad energią jądrową. Największa część z tego przypadała na badania, doświadczenia i szkolenie kadr. Od 1961 r. rząd subsydiuje również wydatki przedsiębiorstw mające na celu zastosowanie energii jądrowej dla celów przemysłowych. Całość wydatków państwa i czołowych przedsiębiorstw prywatnych NRF na rozwijanie badań i wykorzystanie dla celów przemysłowych materiałów rozszczepialnych szacuje się do końca 1962 r. na 2 mln DM.

W rozwijaniu badań nad wykorzystaniem energii jądrowej zaangażowanych jest 260 zachodni-niemieckich przedsiębiorstw z różnych dziedzin przemysłu, a 330 firm bierze udział w produkcji elementów i urządzeń dla przemysłu atomowego. Budowa reaktorów energetycznych jest w NRF pomyślana w ten sposób, aby otrzymać jak największą ilość materiałów rozszczepialnych, głównie plutonu, który jest ważnym surowcem do produkcji bomb atomowych.

W dziedzinie badań jądrowych Republika Federalna współpracuje również z innymi krajami lub z organizacjami międzynarodowymi. NRF finansuje 30 procent wydatków Euratomu na badania naukowe i 19 proc. wydatków Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych. Niektórzy uczeni niemieccy, którzy wyemigrowali po klęsce 1945 r. wracają obecnie do NRF uzbrojeni w nowe doświadczenia, które niejednokrotnie stanowią tajemnicę przedsiębiorstw USA i Anglii produkujących broń atomową.

Nie jestem już młodzieniaszkiem i jeśli dobry Bóg pozwoli mi przeżyć jeszcze cztery lata — będę się uśmiechał. Żal mi jednak młodych. Nie żal mi tych, którzy swoją wiedzą, ideami i polityką wprowadzili świat na drogę wiodącą do zguby. W miarę postępu czasu uśmiech będzie zniknął z ich twarzy.

Chyba, że pierwsi ruszą do ataku. Być może nie będą mieli innego wyjścia. Tak, czy inaczej widowisko zapowiada się ciekawie. Jeżeli po zakończeniu konfliktu pozostaną przy życiu krytycy nie zabraknie im tematu do rozpamiętywania — na długie lata.

HENRYK PRZYBOROWSKI

CYWILIZOWANE BARBARZYŃSTWO

Dok. ze str. 7

nych i wolnościowych, a równocześnie zaprzeczać prawom ludzkim we własnym kraju. Zaczynają rozumieć, że napisy na ścianach domów "Yankee go home!" nie znikną dotąd, dokąd krew niewinnych dzieci, nie będzie zmyta ze ścian amerykańskich domów i nie zbrzydza ich już więcej.

Ta krew, obudziła naród amerykański. W tym leży jej bezcenna wartość.

Dziewczynki, modlące się w Birmingham oddały swe życie za ideę braterstwa, która kiełkuje coraz mocniej w sumieniach Amerykanów.

Oby ziarno tego tragicznego siewu przyniosło plon obfity.

H. Przyborowski

PRZEMYSŁ RAKIETOWY I LOTNICZY

Również zachodni-niemiecki przemysł raketowy i lotniczy rozwija się obecnie niezwykle dynamicznie i stał się istotnym elementem potencjału wojenno-ekonomicznego

państw NATO. Jego szybka odbudowa i rozbudowa możliwa była, gdyż rząd NRF — kładąc główny nacisk na rozwój broni o znaczeniu strategicznym — intensywnie finansował i wszechstronnie popierał rozwój badań i produkcji. Do 1960 r. Bundeswehra zakupiła samolotów i rakiet ogólnej wartości 5,1 mld DM, natomiast w samym tylko roku 1961 wydatki te wynosiły 3,9 mld DM, tj. blisko 1/3 ówczesnych wydatków budżetowych na zbrojenia. Przemysł lotniczy stanowi w tej chwili jedną z nielicznych gałęzi, której zamówienia pochodzą w 95 proc. od Bundeswehry i które to przemysł ten nie jest w stanie w pełni zrealizować.

Badania i budowa doświadczalnych konstrukcji koncentrują się w dwóch wielkich ośrodkach przemysłu lotniczego i raketowego: 1) Arbeitsgemeinschaft Flugzeugbau Nord — z ośrodkiem w Hamburgu, oraz 2) Arbeitsgemeinschaft Flugzeugunion Süd — z ośrodkiem w Monachium.

Głównym zadaniem spółek było przygotowanie warunków dla podjęcia produkcji najbardziej nowoczesnych samolotów i śmigłowców. Równocześnie wydzielone zostały grupy badawcze i ośrodki konstrukcyjne dla kontynuowania badań w zakresie produkcji rakiet. Już w 1961 r. czynnych było w NRF 56 instytutów prowadzących badania w zakresie lotnictwa i rakiet, w których pracowało 2.200 osób.

Bardzo zaawansowane są w NRF prace badawcze i konstrukcyjne w dziedzinie produkcji rakiet średniego zasięgu. Poważną rolę w rozwoju zachodnioniemieckiej myśli technicznej w tej dziedzinie miały badania prowadzone od 1958 r. wspólnie z Francją we Francusko-Niemieckim Instytucie Badań w St. Louis. Instytut ten zatrudniał od 1945 roku znaczną liczbę niemieckich specjalistów, w głównej mierze z byłego Berlińskiego Instytutu Badań Balistycznych Akademii Wojskowej. Do 1958 r. był on jednak finansowany wyłącznie przez rząd francuski. Od tego czasu, na podstawie porozumienia między rządem francuskim i federalnym instytut został podporządkowany połączonemu kierownictwu francusko - niemieckiemu.

Na przyspieszenie prac w dziedzinie konstrukcji rakiet wpłynęło utworzenie jesienią 1961 r. Komisji d/s Techniki Pojazdów Kosmicznych. Objęła ona swoim zasięgiem ważniejsze przedsiębiorstwa przemysłu raketowego NRF. Od 1953 r. do 1960 r. z budżetu federalnego wydatkowano na te cele — wg oficjalnych danych — 169 mln DM. Tylko w roku 1961 suma ta wyniosła już 50 mln DM, a w latach 1962 i 1963 po 45 mln DM.

O posiadanym potencjale naukowo-technicznym NRF w dziedzinie produkcji rakiet świadczy jej zaangażowanie w programie europejskich państw NATO tzw. ELDO — Program (European Launcher Development Organisation). Wkład finansowy Niemiec zachodnich w realizacji programu przewidzianego na pierwsze 5 lat wynieść ma 785 mln DM. Istotniejsze jest jednak zobowiązanie NRF w zakresie technicznym — ma ona zbudować trzeci stopień rakiety (tzw. Balck-Prince).

Osiągnięcia zachodnioniemieckiej myśli technicznej i prac konstrukcyjnych w dziedzinie rakiet, łączności, elektroniki itd. pozwoliły instytutom i zakładom przemysłowym opracować szeroko zakrojony program prac w dziedzinie kosmicznej. W tym celu utworzono 6 września 1962 r. specjalną komisję d/s badania kosmosu.

Instytuty badawcze i przemysł — dla wykonania wytyczonych zadań — zamierzają do 1966 r. powiększyć personel naukowo-techniczny do 3.700 osób.

Ogólne kierownictwo nad całością prac sprawować będzie ministerstwo d/s energii atomowej (przeimianowane pod koniec 1962 r. na ministerstwo d/s nauki).

Niemal całkowicie pracuje dla Bundeswehry zachodnioniemiecki przemysł lotniczy. W 1961 r. znajdowało się w zachodnioniemieckich zakładach lotniczych w seryjnej produkcji 1.539 samolotów wojskowych. Mimo znacznego potencjału produkcyjnego zachodnioniemieckich zakładów lotniczych nie zaspokajają one potrzeb i ambicji Bundeswehry. Zapotrzebowanie Bundeswehry na samoloty wojskowe wysuwa się w tej chwili w NRF na czoło wszystkich innych rodzajów uzbrojenia. Preferowanie krajowej produkcji samolotów wojskowych wynika w pierwszym rzędzie z zadań szybkiego rozwoju NRF-owskiej Luftwaffe.

W zakładach lotniczych NRF produkuje się bardzo nowoczesne samoloty Fiat G-91. Ich produkcja ma wzrastać w takim stopniu, by można było zaspokoić nie tylko potrzeby Luftwaffe, lecz także innych armii NATO w Europie. Na ukończeniu są również w NRF prace nad bogatszym wyposażeniem samolotów F-104 G, tak by były one przydatne do wykonania bardziej skomplikowanych i różnorodnych zadań. W połowie 1962 r. odbyła się pierwsza próba lotu skonstruowanego w NRF samolotu pionowego startu, który w przyszłości ma zastąpić amerykańskie samoloty F-104 G.

Na realizację tak szeroko zakrojonych planów koncerny lotnicze domagają się znacznych subsydiów państwowych. Przyznane dotychczas przez rząd federalny 170 mln DM dla instytutów lotniczych uważa się za niewystarczające. Podobnie przemysł lotniczy żąda dalszej pomocy finansowej ze strony rządu.

Rząd NRF wywiera od dłuższego czasu nacisk na właścicieli koncernów lotniczych, by przyspieszyli proces centralizacji, co ułatwiłoby unowocześnienie i wyposażenie tego przemysłu, oraz obniżyłoby koszty prac badawczych i konstrukcyjnych. Dotychczasowe dostawy dla Bundeswehry spowodowały, że już teraz przemysł lotniczy dysponuje poważną rezerwą finansową. Wartość obrotów tego przemysłu w roku 1960 wynosiła 283,5 mln DM, w roku 1961 451 mln DM.

CZOŁGI — OKRĘTY WOJENNE

Zaawansowane są również w NRF prace w zakresie produkcji innych rodzajów uzbrojenia.

W końcu lat 50 zaczęto po raz pierwszy po wojnie, produkować samochody pancerne. W produkcji 2200 takich wozów, na zagranicznych licencjach, zaangażowane zostały zakłady: Klockner-Humboldt, Deutz AG w Kolonii, Henschel-Werke GmbH w Kassel, Rheinstahl-Hanomag AG w Hanowerze oraz Daimler-Benz AG. W seryjnej produkcji znajdują się wielozadaniowe wozy pancerne "Unimog SH" oraz HW R07 w 5 wersjach. Niemieckie firmy zbrojeniowe przygotowały nowy, samodzielnie opracowany, typ czołgu 36 tonowego, który uwzględniła ponoć doświadczenia nabyte na polach bitew w ZSRR. Ten właśnie czołg, wbrew oczekiwaniu firm francuskich, uzyskał w marcu 1963 r. aprobatę najwyższych czynników NATO jako najlepszy dla europejskiego teatru działań. Wprowadzenie tego czołgu na uzbrojenie jednostek NATO otwiera przed zachodnioniemieckim przemysłem zbrojeniowym możliwości eksportu broni.

W produkcji czołgów zaangażowane są nie tylko przemysł stalowy i motoryzacyjny. Poważne zamówienia oczekuje, w związku z przyjęciem czołgu na uzbrojenie NATO, przemysł radio-techniczny, gumowy i szereg innych kooperujących przemysłów. Na eksport produkowane są również od dłuższego czasu samochody amfibie "Amphicar".

Ważną rolę zaczyna odgrywać w NRF produkcja okrętów wojennych. Spośród 161 okrętów zakupionych przez Bundesmarine od

1957 r. do 1960 r., w stocznich zachodnioniemieckich wybudowano 146. Za granicą zakupiono jedynie niszczyciele i łodzie podwodne, których budowa w stocznich niemieckich była zakazana. W 1961 r. ograniczenia wobec NRF w tym zakresie zostały znacznie złagodzone. Od tego czasu budownictwo okrętów wojennych jeszcze bardziej wzmogło się.

W 1961 r. stocznie NRF dostarczyły dla Bundesmarine 43 jednostki pływające, w tym liczne niszczyciele, trałowce, okręty torpedowe i desantowe, konwojowe i inne. Zachodnioniemieckie stocznie budują obecnie niszczyciele o wyporności 6.000 ton i łodzie podwodne o wyp. 350 ton. W roku 1962 Bundesmarine była zaopatrywana niemal wyłącznie w okręty budowane w stocznich NRF. Dostawy zagraniczne — przeważnie z Anglii — stanowiły zaledwie 1,6 proc. ogólnych zamówień. Z produkowanych w NRF okrętów na szczególną uwagę zasługują okręty podwodne "U-3" o wyp. 350 ton sprzedawane również innym państwom NATO. Według danych prasy NRF, mają to być najbardziej nowoczesne w swojej klasie jednostki.

Istotnym czynnikiem wpływającym ostatnio na dalszy rozwój produkcji okrętów wojennych w NRF jest spadek zamówień na statki handlowe oraz duże ulgi podatkowe i finansowe, a także kredyty udzielane dla stoczni przez rząd federalny i rządy "krajowe".

W NRF wytwarzana jest również w dużych ilościach broń mała i średniokalibrowa oraz amunicja. Poważną rolę odgrywa krajowa produkcja sprzętu, a w szczególności urządzenia radiotechniczne, telewizyjne, elektroniczne, nawigacyjne itp. Zapotrzebowanie Bundeswehry okazało się pod tym względem tak znaczne, że niektóre z większych zakładów musiały przestawić większą część mocy produkcyjnych na wykonanie zamówień armii. Tak np. znane zakłady Telefunken (z których większość znajduje się na obszarze zachodniego Berlina) pracują ¼ dla Bundeswehry.

Ponadto czynna jest na terenie NRF liczna grupa przedsiębiorstw specjalizujących się w produkcji sprzętu kwatermistrzowskiego dla wojska.

Michał Chęciński

("Życie Gospodarcze")

Dr. Samuel Lewkowicz

C. R. M. 1302

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylii. Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. Lekarz I.A.P.I.

Radioskopia, Elektroterapia — Klinika dla dorosłych i dzieci.

Mówi się po polsku - On parle français

R. Prates, 39 apt. 31 - Od 15,30 do 19,30
Tel.: 36-8469. — Mieszkanie: Rua Prates, 209 apt. 71 - Tel.: 36-8469. Rua Formosa, 376 16.º — Od 10 do 11,50. —
Tel.: 32-3847.

SÃO PAULO

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE...

Światelko na małą odległość:

W fabryce, w której cierpię, cały personel techniczny złożony jest ze specjalistów — Anglików.

W biurze pracują maszynistki Brazylijki, oddające się — tak jak i wielu naszych rodaków włącznie z piszącym te słowa, — miłemu złudzeniu, że mówią świetnie po angielsku.

Wczoraj, kiedy szedłem po korytarzu biurowym, nagle, jak odrzutowiec, wypadł ze swojego gabinetu dyrektor fabryki.

— Henry!... — zatrzymał mnie. — Proszę cię, naucz tę maszynistkę jak się wystawiać po angielsku.

Podał mi zapisany papier.

— Dostyc mamy erotycznych skandali w Anglii, żeby je jeszcze eksportować z Brazylii. Wszystkie kopie naszych pism wysyłane są do centrali! — trzasnął drzwiami.

Usiadłem przy stoliku i zacząłem studiować podany mi elaborat.

Niejaki Mr. Roberts, donosił, że nie może wykonać polecenia znalezienia części zapasowych do turbiny samolotowej "Dart". Chodził od "warehouse" — (składu) do "warehouse", i ich nie znalazł.

Maszynistka, — godzi się zauważyć, że bardzo przystojna, — dona Pepita, wyjaśniła w piśmie, że Mr. Roberts chodził od "Whorehouse", do "Whorehouse" i niestety, części zapasowych nie znalazł. "Whorehouse" — przełożone na język Kadłubka, to "dom publiczny", a na język Salazara, "Casa de mulheres".

Sama się dziwiłam panu Robertowski, — zwierzyła mi się dona Pepita — jak skromnie wygląda... Nie mogłam pojąć, jakich części zapasowych szuka...

Odniosłem poprawione pismo dyrektorowi i oświadczyłem że nie można winić dony Pepity: Mr. Roberts ma bardzo niewyraźny charakter pisma.

Podziękował mi bardzo uprzejmie i oświadczył, że już nigdy nie poleci Mr. Robertowski szukać części zapasowych do turbiny "Dart".

— How nice! — uradował się Mr. Roberts, kiedy mu to zakomunikowałem.



Prezydent Kennedy wziął udział w uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej na grobie Ignacego Paderewskiego na cmentarzu w Arlington w Waszyngtonie.

Dla wyjaśnienia następnej historyjki, muszę zaznaczyć, że — niestety — już tylko bardzo dorywczo, jestem w stanie pracować w tej fabryce.

Wyrwicz, którego kreacji austriackiego doktora w "Dobrym żołnierzu Szwejku", nie zapomnę do końca życia, — opowiadał raz w monologu o pewnym prowincjonalnym lekarzu.

Starszy już lekarz wybierał się na urlop i poprosił młodego kolegę o zastępstwo. Pokazując mu listę swoich pacjentów wyjaśniał:

— Musi kolega odwiedzać księdza proboszcza. Zazębił się paskudnie na pogrzebie i męczy go kaszel. ...

— Jak wysokie honorarium pobiera pan doktor od niego? — zapytał młody lekarz.

— No, — bąknął stary doktor — nic nie biorę. Jak można żądać pieniędzy od księdza?

— Tutaj, — ciągnął — ma pan strażaka. Zleciał z drabiny i złamał sobie rękę. ...

— Kto płaci za wizytę? — zaciekał się "kolega".

— Ani grosza, spełniał swój obowiązek, musimy mu okazać naszą wdzięczność.

Wymienił później innych pacjentów: biednego studenta, służącą, pozbawioną pracy, chłopaka któremu majster szewski podbił oko. Stary lekarz od nikogo nie brał honorarium.

— Z czego pan doktórzy żyje? — zapytał go na koniec młody lekarz.

— Żona robi kilimy. ... — wyjaśnił starszy kolega.

Siedziałem któregoś dnia za maszyną i pisałem swoje kawałki.

Wizyta znajomego przerwała mi pracę.

— Dla kogo pan pisze? — zapytał.

— Dla pism polskich w Wielkiej Brytanii, we Francji, w Brazylii, — odpowiedziałem.

— Ile panu płacą?

— No, widzi pan — zająknąłem się — to pismo przysyłają mi za darmo, to znowu jest bardzo biedne i "robi bokami", to znowu płaci parę groszy z rocznym opóźnieniem. ...

— Z czego pan żyje? — zdumiał się.

— Żona daje lekcje angielskiego. ...

* * *

Na zakończenie moich własnych przegód, poczuwam się do obowiązku podziękować trzem czytelnikom "Przeglądu Polskiego", którzy po wyczytaniu w ostatnim "Reflektorze" o "alerii" której padłem ofiarą, nadesłali mi listy z doskonałymi radami, jak się mam z niej wyleczyć.

Dziękując z głębi serca pp. S. W. J. W. oraz pani N. B. — za pamięć, z prawdziwą przykrością muszę zawiadomić, że zgoliłem już brodę koloru słonecznika, a na moją fizjonomię powrócił wyraz normalnej tępoty.

Nie ma żadnej nadziei, żebym został admirałem floty kubańskiej.

* * *

W Cannes, bogaty Mr. J. Martin, wylegiwał się na trawniku. Wobec tego, że mocno wypchany portfel uwierał go w newnę miękką część ciała, położył go obok siebie. Pasące się w pobliżu cielę, poczuło przysmak i skonsumowało portfel Mr. Martina.

Mr. Martin narobił gwałtu, cielę zabito i oddano mu portfel.



125 tysięcy Murzynów i białych wzięło udział w wielkiej manifestacji w Detroit przeciw ograniczeniom rasowym. W pierwszym szeregu — przywódca integracjonistów murzyńskich, pastor dr Marcin Luther King.

Niestety, 350 funtów szterlingów, które zawierał, przetrawione były na kolorową papkę.

Przypuszczam, że gdyby to były krużery, przeleciałyby przez cielę bez uszkodzenia. Kwasy żołądkowe cielęcia, przewyższyłyby ich wartość z całą pewnością. Chociażby Mr. Martin posiadał 5 tysiączne banknoty.

Wspomnienia z Polski. —

Wędrowki na emigracji.

Przygody w Brazylii.

Oto treść:

Zbiór opowiadań

Henryka Przyborowskiego p. t.

"RAPORT KARNY"

który ukaże się nakładem "Londyńskiej Biblioteki Literackiej"

BOLESŁAWA ŚWIDERSKIEGO

jako tam XXXVI.

Książka będzie liczyć około 300 stron druku. Cena w przedpłacie Ł 1. 6. 4 lub \$ 3. 0. 0.

Przedpłate przyjmują w Brazylii:

Red. Seweryn Hartman, - "Przegląd Polski" Caixa Postal 4530 — São Paulo.

Feliks Rokicki, - Rua Rep. de Peru 305, apt. 18 - Rio de Janeiro.

Janusz Orciuch - Móveis Cimo Caixa Postal 13, Curitiba - Paraná.

Na otwierającym sezon piłki nożnej meczu, pomiędzy szkockimi drużynami "Rangers" (sami protestanci), i "Celtic" (sami katolicy), poraniono ciężko butelkami od piwa 38 widzów. Przewieziono ich nieprzytomnych do glasgowskich szpitali. Ponad setka osób znalazła się w areszcie.

Tak wygląda w sporcie brytyjskim braterskie pojednanie chrześcijan, do którego nawołują kościół katolicki i protestancki.

Należy przypuszczać, że gdyby "Celtic" i "Rangers" grały w średniowieczu, sędziego łamanoby kołami, graczom wyrwanoby żywcem paznokcie a bramkarzy palonoby na stosie. W owych czasach piwo przechowywano w beczkach. Trudno je było schować do kieszeni wchodząc na stadion. Chyłę czoła przed butelką: jest ona symbolem postępu.

Gdyby 38 widzów meczu schyliło głowę w porę, nie leżałoby teraz z rozkwa-



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

LUDZIE I ZWIERZĘTA

Mniej więcej 150 tysięcy lat temu pojawił się człowiek z rasy "neandertalczyków". Pierwszy człowiek, który na tę nazwę zasłużył, jako że wyrabiał narzędzia, rozniecał ogień, rozbudził w sobie pierwszą iskrę zamilowania artystycznego i zaczął wierzyć, iż światem rządził bóstwo. Klimat Europy w okresie bez mała stu tysięcy lat jego bytowania na Ziemi przechodził stopiowe fazy odmiany: od tropiku do arktycznych mrozów. Przed zbliżającymi się z północy lodowcami ustępowały krok w krok kolejne fale zwierzęcego świata.

szonymi nosami i poucinanymi uszami w szpitalach.

* * *

Raduje się serce, raduje się dusza, kiedy czytamy o sukcesach Polskiego Zespołu Folklorystycznego z Kurytyby.

Te piękne głoski naszych panienek, te zwinne nóżki tańczące kujawiaki i krakowiaki, na pewno więcej przynoszą korzyści propagandzie polskości od elaboratów naszych londyńskich, — pożałuj Boże — polityków.

Tym wszystkim osobom, które bezinteresownie poświęcają się tej pracy, należy się szczerze uznanie i podziękowanie nas wszystkich za trudy, które ponoszą.

Skoro już mowa o wyrazach uznania, to nie od rzeczy będzie złożyć je także, tym firmom polskim, które przez zamieszczanie ogłoszeń, umożliwiają egzystencję naszej prasy emigracyjnej.

Z fabryk i warsztatów, ze sklepów i biur, płynie otucha dla tych ludzi, którzy starają się o przypomnienie polskiego — słowa.

Z tych "kubków papierowych" pije się ożywczy napój, podtrzymujący na duchu.

Gdybyż tak wszyscy Polacy mieszkający na tutejszym terenie, poszli śladami tych ludzi...

"Przegląd Polski" wychodziłby co tydzień, a jego współpracownicy...

No, nie piszmy na tym miejscu o sprawach bardzo smutnych.

* * *

W przyszłym roku odbędą się w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa partia republikańska wysunie jako kandydata senatora Barry Goldwater'a.

Już teraz rozpoczął on swoją kampanię wyborczą. Woła podczas przemówień, że "rządy bujającego krzesła" nie wystarczą Amerykanom.

Jak wiadomo, ze względu na uszkodzenie kręgosłupa, lekarze polecili prezydentowi Kennedy'emu, używanie takiego krzesła.

"Dowcip" powyższy, przyjmowany jest na zgromadzeniach partii republikańskiej, rykiem śmiechu.

Po zamordowaniu czterech dzieci murzyńskich w Birmingham, po zastrzeleniu w tymże mieście dwóch chłopców, wymyślony przez senatora Goldwatera dowcip, szczydzący z choroby prezydenta, stawia przed człowiekiem pytanie: czy Amerykanie są w ogóle narodem cywilizowanym?

Barry Goldwater jest krótkowidzem. Czy śmiałyby się z dowcipu, że rządy ślep-

ta. Naprzód wywędrowały na południe słonie, tygrysy, lwy, hieny i małpy, a w końcu skapitulowały nawet ssaki przyzwyczajone do chłódów tundry: mamuty, nosorożce wiochate, konie, renifery i woły piżmowe. W mroźnej, okrutnej Europie pozostały z większych ssaków tylko człowiek i niedźwiedź jaskiniowy, stwór przerastający siłą fizyczną i wzrostem dzisiejszych swoich krewniaków.

Niedźwiedzia chroniły przed mrozami gęsty, brunatny kożuch i gruba warstwa sadła, ale człowiek górował nad nim wspaniałą

ca nie wystarczą Stanom Zjednoczonym?

Obrzydzenie bierze słuchając tego rodzaju popisów.

Ogarnia pogarda dla białego człowieka.

* * *

Innym przykładem do czego może doprowadzić samodurstwo, jest gubernator George Wallace, członek partii demokratycznej.

Oświadczył on dziennikarzom, że zamierza kandydować na prezydenta w r. 1964. Powiedział, że otrzymuje tysiące listów, popierających jego kandydaturę. Ludzie mu piszą: "Nie będziemy głosowali na Murzyna Kennedy'ego". "Nie oddamy głosów na Martin'a Luthra Kennedy'ego" (Ks. Martin Luther King jest przywódcą Murzynów) Będziemy głosowali na gubernatora Alabamy, George'a Wallace'a!

Aczkolwiek właściwy sprawca mordu birminghamskiego, prędzej znajdzie się w Sing-Sing za kratami, aniżeli w Białym Domu, to jednak już to samo, że lansuje swoje nazwisko na najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych jest bezczelnością nie do wiary.

Ludzie składający mu hołdy wystawiają sobie odpowiednie świadectwo.

Dyplom głupoty podpisany jest na listach skierowanych do opryska z Alabamy ich własnym nazwiskiem.

* * *

Wyjątkowo słucham radia brazylijskiego. Pragnąc się jednak dowiedzieć co się dzieje w mojej "rodzinnej" Paranie podczas pożarów lasów włączyłem radio. O Paranie więcej dowiedziałem się z Waszyngtonu, aniżeli z São Paulo. Głośnik grzmiał przemówieniami wyborczymi. Przypadkowo usłyszałem mowę kandydata na "vereadora" z St. André.

Zaczął wcale nieźle. Powiedział mianowicie: "Senhoras e Senhores! Amigos! Zużył na to 30 sekund. Następne trzy minuty — szlochał. Płakał jak bóbr. Nie mógł wypowiedzieć jednego słowa więcej.

W końcu zagrano marsza i przemówienie się skończyło.

Zastanawiając się nad kruzejrem, kosztami utrzymania, wysokością zarobków doszedłem do przekonania, że było to najlepsze przemówienie wyborcze. Gdybym miał prawo głosu, oddałbym go na tego kandydata z St. André.

Łzy mi się kręciły w oczach, kiedy go słuchałem.

Henryk Przyborowski.

bronią, jaką zdobył sobie w ciągu setek tysięcy lat rozwoju, mianowicie dobrze uzbrojonym mózgiem. Jedyńą ucieczką przed nie-miłosiernym mrozem były jaskinie w okolicach górskich, szczególnie w Pirenejach. Tam człowiek i niedźwiedź urządzili sobie legowiska, tam rozgorzał między nimi nieustający bój na śmierć i życie. Człowiek traktował niedźwiedzia jak swoją spiżarnię, wypierał go do najdalszych korytarzy jaskiniowych labiryntów, zabijał kamienną maczugą. Mięsiwo piekł na otwartym ogniu, z futra sporządzał sobie odzienie, z kości wyrabiał narzędzia, naszyjniki i zabawki dla dzieci. Mroczne groty podziemne były świadkami niejednej tragedii, która przy chwilejnym płomieniu łuczywa rozegrała się między nieubłagany łowcą a potężnym, ale ocalałym miśm.

Ślady kopalne tego ponurego okresu geologicznego spotyka się dziś w warstwach odpadków kuchennych, popiołów i piasku nagromadzonych w jaskiniach w ciągu wieków ich zamieszkiwania. Znalezione resztki kostne neandertalczyków i upolowanych zwierząt, w większości niedźwiedzi. Największą rewelacją były malowidła ściennie wyobrażające niedźwiedzia. Sylwetki, narysowane przez prymitywnego artystę z realistycznym zacięciem, służyły chyba jakimś obrządkom magicznym, mającym zapewnić pomyślne łowy.

Najbardziej fascynujące są jednak tropy, pozostawione przez łapy niedźwiedzie w jaskiniach. W glinianym uklepisku podłogi i na ścianach wapiennych korytarzy widać wyraźne odciski i zadrapania ich pazurów. Są to jakby znaki nutowe, z których wyczytać można ich obyczaje, smutne i komiczne epizody ich życia, nieraz nawet wstrząsający dramat walki i zagłady.

W jednej z jaskiń pirenejskich matka z niedźwiadkiem zapuściła się w głąb ślepego i ciasnego korytarza. Wkłiniwiona między ściany, nie mogła już nawrócić i zdechła wraz ze swym pociotem. Przypuszczalnie zagnała ją tam panika, gdy trzeba było uchodzić przed pościgiem człowieka. W innej znowu jaskini jeden z korytarzy urywa się raptownie przepastną otchłanią. Była to pułapka, w którą jak to wynika ze sterty kości upadało mnóstwo niedźwiedzi, prawdopodobnie również podczas nagonki łowców neandertalskich.

Bywają też sceny pogodne i zabawne. Pewna galeria stała się dla niedźwiedzi ulubionym miejscem uprawiania tańca. Ślady łap w glinianym uklepisku świadczą, że potwory kołysały się ociężale stojąc na tylnych łapach. W ciemnej komorze innej jaskini baraszkowały zawzięcie dwa małe niedźwiadki, podczas gdy ich matka oparta o ścianę wapienną najspokojniej sobie wypoczywała. Wiedocześnie w tym ustronnym zakątku czuła się bezpieczna od prześladowań człowieka. Najzabawniejszego odkrycia dokonano w dużej grocie pirenejskiej. Znajdował się tam ongiś głęboki staw z bardzo stromymi glinianymi brzegami. Z tej pochyłości niedźwiedzie robiły sobie coś w rodzaju toru saneczkowego. Zjeżdżały po prostu na czterech łapach po śliskiej glinie i z pluskiem wpadały do wody. Obecnie staw już nie istnieje, ale w zaschniętej glinie pozostały wyraźne ślady tej zabawy: koleiny wydrążone przez łapy i zadły niedźwiedzie oraz kłębki brunatnych kłaków, wyrwanych podczas zjazdu. Jak widzimy, życie tych prześladowanych stworów nie było pozbawione również chwil niefrasobliwości.

Niedźwiedź jaskiniowy wymarł już chyba podczas ostatniej epoki lodowej. Zrazu przypuszczano, że wytepił go człowiek neandertalski. Dziś raczej przychylamy się do zdania, że po prostu nie sprostał fizycznie surowej nad wyraz przyrodzie. Nastąpiły potworne mrozy. Większość Europy okrywała powłoka lodowego szkliwa, o pożywienie było coraz trudniej. Głód i choroby dziesiątkowały niedźwiedzie w sposób straszliwy. Dowodem są szczątki kostne pozostawione w jaskiniach przez ostatnie pokolenia tych zwie-

rzę. Zdeformowane paszcze, powykręcane artretyzmem kończyny, zwapnione stawy, jakieś narośla na łopatkach i kregostupach — wszystko to mówi dostatecznie wyraźnie o cierpieniach tych zwierząt. Degeneracja pociągająca za sobą oczywiście bezpłodność; ostatni głodny, chory, ułomny niedźwiedź pokuścił się w daleki zakątek jaskini, by w samotności zakończyć swój żalostny żywot.

Wymarli również neandertalczyk, a miejsce ich zajęli ludzie typu Cro-Magnon i Aurignac, nasi bezpośredni poprzednicy. Lodowce ustępowały, klimat Europy stopniowo łagodniał. Było to mniej więcej 20 tysięcy lat temu. W rozległych tundrach żerowały nieprzebrane stada zwierząt: konie, woły piżmowe, włochate nosorożce, tury, żubry, losie, renifery i majestatyczne mamuty. Mamut wymarł wprawdzie już dawno temu, wiemy jednak dokładnie, jak wyglądał. Kromanińscy artyści pozostawili jego podobizny na ścianach skalnych, lecz przede wszystkim zakonserwowali się on w zamrażanych moczach syberyjskich tak jak żył: ze skórą, z owłosieniem spadającym do samych pęcin oraz z pożywieniem roślinnym w żołądku i paszczu.

Ludzie tych odległych czasów byli przede wszystkim łowcami. Myślistwo stanowiło główną podstawę ich bytu, a najważniejszą zwierzyną łowną był mamut, dostawca wszelkiego dobra: mięsna, skór i kości na obróbkę, szczególnie wspaniałych ciosów.

O rozmiarach tych łowów dowiedzieliśmy się pogładowo dzięki odkryciu, dokonanemu w wiosce morawskiej Predmost, leżącej w niedalekiej odległości od miasta Prerow nad rzeczką Beczwą. Już w XVI wieku krzyżacy donoszą o wykopywanych tam kościach „wielkoludów”, a w połowie XIX w. okoliczni chłopcy eksploatowali kości jako nawóz. Dopiero pod koniec tegoż wieku zainteresował się stanowiskiem profesor Maszka. Na miejscu zastał głęboki wykopany przez pokolenia rolników dół ze strumy boki z ubitego pyłu połodowcowego, tak zwanego „lessu”. W szarożółtej ścianie odcinał się wyraźnie czarny pas popiołów po ogniskach, a w tym popiele tkwiła ogromna ilość kości po mamutach, pomieszanych z resztkami innych zwierząt i z łupkami krzemienia. Naliczono w tym miejscu prawie tysiąc mamutów, które padły ofiarą łowców.

Jak je upolowano? Otóż sprytna gromada ludzi kromanińskich osiedliła się właśnie w tym miejscu ponieważ znajduje się tam naturalna drama górską, łącząca dolinę Dunaju z równinami Europy. Zwierzęta, a z nimi również mamuty, prowadziły życie sezonowej migracji. Latem żerowały w Europie, a na zimę ciągnęły przełęczą w Predmost na obszary Morza Czarnego. Łowcy usadowili się w tym strategicznym miejscu i polowali na mamuty zapędzając je w przepaść górską. Tego rodzaju osiedla, założone w miejscach kluczowych odkryto również w Austrii między innymi w Willensdorf, gdzie wydobyto z popiołów słynną statuetkę kobiety o absurdalnie obfitych kształtach, tak zw. „Wenus z Willensdorf”.

Prof. Maszka odkrył w Predmost zbiorowy grób mieszkających osiedla, obramiony kośćmi i czaszkami mamutów oraz przykryty wysoką stertą kamieni. Leżało tam dwadzieścia szkieletów ludzkich, wśród nich dwanaścioro dzieci. Nie podlega wątpliwości, że wieść spotkała jakieś gwałtowne nieszczęście. Trudno dociec, na czym ono polegało. Mogła to być lawina, choroba zakaźna, głód, napad drapieżników lub wrogich sąsiadów. Jedno jest pewne: fakt, że trupy zostały pogrzebane w grobie i zabezpieczone stertą kamieni przed profanacją, stanowi niezbitą dowód, że łowcy mamutów wierzyli w życie po-zagrobowe.

ZENON KOSIDOWSKI

(„Przegląd Kulturalny”)

TAJEMNICA KOSMICZNA — TEKTYTY

— Podobne są do niewielkich kawałków węgla, prawda? W istocie zaś nie znamy ich pochodzenia, stanowią niezbadaną dotychczas tajemnicę geologiczną. Mimo to mogą one stanowić klucz do wyjaśnienia pochodzenia systemu słonecznego.

Tak mniej więcej oświadczył jeden z docentów przy katedrze chemii Uniwersytetu w Wisconsin, Larry Haskin, młody człowiek w wieku lat 28. Rzeczą, o której mówił, były trzy kamyczki, błyszczące, małe, koloru ciemnozielonego. Wypowiadając te słowa poruszał pinsetką dziwne kamyczki.

— Kamienie te — ciągnął dr Haskin — to tektyty (od wyrazu greckiego „tektos”, co oznacza stop). Jeden z nich został odnaleziony w Texas w Stanach Zjednoczonych, inny na Filipinach, trzeci w Australii. W ciągu szeregu lat pochodzenie ich stanowiło przedmiot sporów i dociekań. Niektóre właściwości tektytów zdają się wskazywać na pochodzenie ziemskie, inne jednak cechy wydają się temu przeczyć i skłaniają do myśli, że są one pochodzenia kosmicznego.

Badania dr Haskina dotyczą problemów praktycznie nowych w chemii, a mianowicie t. zw. kosmochemii. Ta nieznaną dotychczas gałąź wiedzy ma na celu badanie obiektów pochodzenia kosmicznego i ziemskiego i dochodzenie na tej podstawie procesów formowania się gwiazd, wszechświata i systemu słonecznego.

Ciałami, o których wiemy na pewno, że przybywają z kosmosu są meteoryty — fragmenty skał i metali pochodzenia pozaziemskiego. Czy tektyty są również meteorytami?

Tektyty znane są co najmniej od dwóch stuleci. Dziesiątki tysięcy tych kamieni rozsiane są na polach Australii, Filipin, Wybrzeża Kości Słoniowej, południowo-zachodniej Azji i Borneo. W Stanach Zjednoczonych tektyty spotyka się w stanach Texas i Georgia. Trzy lata temu pewien geolog znalazł zwykły tektyt jasnozielony, kształtu spodka, u stóp skał wyżłobionych przez erozję w Gay Head w Massachusetts. Skąd się tam przybłąkał nikt do dziś nie umie wytłumaczyć.

W ciągu szeregu lat około 30 teorii próbowano sformułować i wytłumaczyć pochodzenie tajemniczych kamieni. Oto niektóre z nich: są to szczątki księżyców krążących niedługo wokół ziemi; są to kawałki stopionego kurzu utworzone przez błyskawice w czasie przebiegania przez powietrze; są to błyszczące ciała wyrzucone z wnętrza ziemi przez dawno wygasłe wulkany. Do najbardziej zadziwiających należy teoria twierdząca, że tektyty są kawałkami szkła wytworzonego przez człowieka przedhistorycznego.

Wszystkie te teorie zostały porzucone prócz dwóch, które podzieliły uczonych na dwa przeciwstawne sobie obozy. Jedna z tych grup stwierdza, że tektyty to odpryski kory księżycy i ci, którzy bronią tej teorii, oświadczają, iż w odległej przeszłości olbrzymie meteoryty zderzyły się z księżycem i że odłamki tych meteorytów odbiły się od powierzchni księżycy i trafiły na ziemię. Po przeniknięciu do atmosfery ziemskiej niektóre z tych odłamków spłonęły, inne zaś spadły na naszą planetę w postaci stopionych krolek kamiennych, które szybko zgęstniały.

Przeciwnicy tej teorii uważają, że tektyty utworzyły się w chwili, gdy olbrzymie meteoryty zderzyły się z ziemią. Przy tym zderzeniu wyleciały w powietrze skały osadowe i w dalekiej odległości od miejsca zderzenia spadły na ziemię jako grad tektytów.

— W r. 1962 — powiada dr Haskin — dwóch chemików północno-amerykańskich, dr. Hugh Taylor Jr. i dr. S. Epstein, analizowało zawartość izotopów tlenu w tektytach i w skałach osadowych, stwierdzając, że istnieje małe prawdopodobieństwo, aby tektyty miały się wywodzić ze skał osadowych. Sądzę, że wyciąganie wniosków w tej spr-



Kamienie, które dr Haskin porusza pinsetką, zwracały uwagę uczonych od szeregu lat. Jak dotąd żadna teoria nie potrafiła wytłumaczyć zadowalająco ich pochodzenia.

wie jest nieco przedwczesne, ponieważ tak jak mało wiemy o utworzeniu się tektytów tak samo nie jesteśmy jeszcze pewni do jakiego stopnia zawartość izotopów w wymienionych ciałach może być zwiększona.

Pomimo to jedno wydaje się całkowicie jasne, że tektyty przybyły z przestrzeni kosmicznej i stopiły się w czasie lotu. Większość ich posiada jeden i ten sam kształt jak by były odlane aerodynamicznie. Jedne podobne są do łez, inne — są okrągłe. Forma ich ogólnie biorąc przypomina kształtem orzech, różniąc się jedynie rozmiarem.

Stąd wniosek, że tektyty powinny występować w pobliżu miejsc, w których znajdują się krater po meteorach. Ale jak dotąd nie stwierdzono czegoś podobnego.

Dr. Haskin zaczął się interesować tektytami w trakcie badań nad grupą t. zw. ziem rzadkich. Istnieje 15 rzadkich elementów: europ, lantan, erb itd. Są one nie tylko rzadkie, ale ponadto występują w dużym rozproszeniu w skorupie ziemskiej. Czy tektyty należą do tych ziem rzadkich, są tak samo rozpowszechnione? Dr. Haskin wie, że gdyby się udało rozwiązać to zagadnienie rzuciło by to snop światła na pochodzenie tajemniczych kamieni.

— Jedną z moich studentek — oświadczył — pomagała mi w badaniach; wyselekcjonowaliśmy trzy tektyty, które widzieli panowie na moim stole i poddaliśmy je analizie chemicznej. Zastosowaliśmy metodę aktywizacji przy pomocy neutronów, dzięki której próbka danego ciała staje się radioaktywna. Wyznaczając stopień radioaktywności możemy zmierzyć ilość występujących pierwiastków. Metoda ta jest niezwykle precyzyjna, co jest konieczne w stosunku do ziem rzadkich, występujących zawsze razem. Inną właściwość, utrudniającą ich wyizolowanie, stanowi okoliczność, że ziemie te charakteryzują się bardzo dużym podobieństwem pomiędzy sobą.

Dr. Haskin i panna Gehl, jego uczennica, przygotowali próbki 15gramowe każdego z tektytów. Probki dwugramowe zostały umieszczone w rurkach kwarcowych. Poddano je bombardowaniu neutronami w reaktorze atomowym. Naświetlone próbki przeanalizowano następnie porównując wyniki z wzorem rozpowszechnienia ziem rzadkich w skałach osadowych. Jak wykazały badania wzorce były identyczne.

— Wykazaliśmy — stwierdził Haskin — że tektyty i skorupa ziemska mają tę samą za-

Szczepionka przeciw odrze

W Stanach Zjednoczonych wprowadzono obecnie do użytku publicznego aż dwa rodzaje szczepionki przeciw odrze, chorobie najbardziej rozpowszechnionej wśród dzieci na całym świecie i jednej z najbardziej groźnych. Obydwa rodzaje szczepionek wykazały swoją skuteczność w skali laboratoryjnej i zostały szeroko wypróbowane w szpitalach.

W ciągu dwóch lat można zlikwidować odrę na całym świecie, jeżeli wszystkie dzieci zostaną zaszczepione.

Zgodnie z danymi statystycznymi odra powoduje rocznie w Stanach Zjednoczonych od 300 do 500 przypadków zgonów. Biorąc pod uwagę cztery miliony zachorowań w ciągu roku jeden zgon przypada na każde tysiąc zachorowań. W innych krajach, zwłaszcza słabiej rozwiniętych, odra zbiera znacznie większe żniwo śmierci. W Afryce i w Ameryce Południowej ilość zgonów na odrę sięga wysokości 25%. Śmierć stanowi tu częściej wynik komplikacji spowodowanych przez zapalenie płuc i zapalenie opon mózgowych, niż samego wirusa odrzy.

Badania związane z odkryciem szczepionki sięgają roku 1954 kiedy to dr John Enders, profesor Uniwersytetu w Harvard i laureat nagrody Nobla oraz dr. Thomas Peebles zdołali izolować wirusa odrzy. W wyniku swych prac uczeni amerykańscy wyprodukowali dwa rodzaje szczepionki, jedną opartą na wirusie żywym, a drugą na — martwym. Do produkcji tych szczepionek przystąpiły już różne laboratoria i w najbliższym czasie należy się spodziewać wypuszczenia gotowego produktu na rynek. Przewidziany jest też eksport szczepionki do rozmaitych stron świata w ramach programu pomocy zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Szczepionka wyprodukowana na bazie wirusa martwego stosowana jest w trzech dawkach z przerwą 30-dniową pomiędzy każdym szczepieniem. Szczepionka oparta o wirusa żywego podawana jest w jednorazowej dawce.

Odry nie należy mieszać z różyczką, chorobą na którą nie ma jeszcze szczepionki. Jednakże w związku z wykryciem

w r. 1962 wirusa tej choroby można oczekiwać, iż w okresie od dwóch do trzech lat zostanie wynaleziona szczepionka również na tę chorobę.

Dziecko zaatakowane przez wirusa odrzy powinno być pielęgnowane ze szczególną pieczołowitością celem uniknięcia zachorowania na zapalenie płuc lub zapalenie opon mózgowych, komplikacje, na które łatwo zapada osłabiony organizm.

(la) — USIS

Tabletki fluorku przeciwko próchnicy zębów

Na odbytej w połowie lipca br., konferencji międzynarodowej, zwołanej przez Europejską Organizację Badań nad Fluorem i Próchnicą Zębów, omówiono wyniki różnych metod zapobiegawczego leczenia próchnicy, metod stosowanych w ostatnich pięciu latach.

Analiza porównawcza tych wyników wykazała, że najbardziej skuteczna jest metoda zowania soli kuchennej. Regularnie podawane dzieciom w wieku szkolnym tabletki fluorku dają w efekcie nieco mniejszą, jednak bardzo wyraźną redukcję próchnicy.

W czasie konferencji prof. Bergmann ze Sztokholmu przedstawił film, w którym demonstrował — przy ogromnym powiększeniu powierzchni emalii zębowej — przenikanie płynów tkanki przez tę emalię, którą uważano aż do czasów sprzed 20 lat za tkankę statyczną, całkowicie uszczelnioną po zakończonym wyrzynaniu się zębów. Film potwierdził więc wyniki badań, uzyskane uprzednio metodą izotopów promieniotwórczych i atomów znaczących. (T)

Średnia długość życia — 150 lat

Kilku wybitnych uczonych amerykańskich (Teller — ojciec bomby H, Pickering — dyrektor laboratorium napędu odrzutowego, Dryden — jeden z dyrektorów NASA) w wyniku przeprowadzonej dyskusji zarysowali obraz ziemskiego świata w r. 2063. Oto kilka fragmentów tego obrazu przyszłości:

— przeciętna długość życia ludzkiego zwiększy się do 150 lat.

— niektórymi cechami dziedzicznymi, np. kolorem skóry, rządzić będzie człowiek, kontrolując je substancjami chemicznymi,

— dalekie podróże w przestrzeni pozaziemskiej odbywać się będą w olbrzymich statkach napędzanych energią jądrową,

— na Księżycu i na Marsie założone będą osiedla ludzkie a uczeri będą jeździć po wszystkich szlakach naszego systemu słonecznego.

Te i inne szczegóły portretu naszego świata za lat 100 zostały zapieczętowane w odpowiednim zasobniku z napisem — "otworzyć po stu latach"...

DR STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Załatwia wszystkie sprawy cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp. —

BIURO: Rua Senador Feijó, 29 4 p. s.

417 (obok Katedry) tel.: 35-6521.

PRZYJMUJE OD 13 DO 19 GODZINY.

Nowa technika budowy statków

Statki na poduszce powietrznej, zwane poduszkowcami, jeszcze przed kilku laty były jedynie śmiałym eksperymentem konstruktorów. Brytyjskie przedsiębiorstwo Westland Aircraft jako pierwsze na świecie opanowało ich produkcję i buduje je seriami, ustalając równocześnie ceny na trzy typy tego rodzaju statków.

Pierwszy z nich — "SRN-2 Hovercraft" — posiada wagę 27 t, rozwija szybkość do 140 km na godzinę i może zabierać 70 pasażerów albo 8 t ładunku. Cena jego wynosi ok. 1 miliona dolarów. Drugi typ, "SRN-2 Mark 2", waży 37 ton i zabiera 150 pasażerów albo 12 t ładunku. Koszt jego budowy wynosi ok. 1,5 miliona dolarów. Trzeci typ, "SRN-5", waży jedynie 7 ton, rozwija szybkość 70 węzłów i zabiera 20 pasażerów wzgl. 2 t ładunku. Cena — 250 tys. dolarów. W stadium budowy znajduje się poduszkowiec o wadze 170 ton i szybkość 20 węzłów (a więc ponad 150 km na godzinę), mogący zabierać 600 pasażerów lub 350 pasażerów i 26 samochodów, wzgl. 65 t ładunku. Zdaniem producenta, 10 tego typu pojazdów mogłoby w całości obsłużyć ruch między kontynentem europejskim a Anglią na kanale La Manche na linii Calais — Dover.

Dotychczas poważna trudność w eksploatacji poduszkowców na morzu stanowiły większe fale. Wynaleziony niedawno specjalny płaszcz gumowy, umocowany u spodu pojazdu, zapewnia mu możliwość bezpiecznego poruszania się nawet przy dużej fali, a także pokonywania stałych przeszkód, np. muru do wysokości 1 metra lub głębokich na 2 metry dołów o stromych ścianach. Westland Aircraft uważa za możliwe zbudowanie w ciągu najbliższych pięciu lat wielkiego poduszkowca o wadze 1000 ton, który przebywałby Atlantyk z szybkością ok. 100 węzłów (ok. 180 km na godzinę), dzięki czemu przeprawa przez ocean trwałaby zaledwie 30 godzin.

Największe i najpopularniejsze pismo polskie w Kanadzie

ZWIĄZKOWIEC

wydawane dwa razy w tygodniu
które zawsze wyczerpująco informuje o
ostatnich wydarzeniach w Kanadzie,
Polsce i w świecie.

Prenumerata roczna:

w Kanadzie \$ 6.00, zagranicą \$ 7.00

Po bezpłatne numery okazowe pisać do:

POLISH ALLIANCE PRESS

1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont.

Tel.: LE. 1-2491 — CANADA

wartość ziem rzadkich. Oznacza to, że tektyty i ziemia pozostają w pewnej relacji do siebie.

Jeżeli zostanie stwierdzone, że tektyty przybývają z przestrzeni kosmicznej różne możliwości mogą być brane pod uwagę ze względu na podobieństwo tych ciał do ziem rzadkich.

— Jest rzeczą możliwą, że inne ciała, podobne do Ziemi, istnieją w przestrzeni kosmicznej — powiada Haskin.

Można też przypuszczać, że zarówno tektyty, jak i Ziemia wywodzą się z jednego ciała. Zgodnie z inną hipotezą ziemie rzadkie były bardziej rozpowszechnione w systemie słonecznym, niż obecnie na co zdają się wskazywać badania w zakresie ziem rzadkich w meteorytach. Jak to wreszcie wynika z czwartej teorii identyczny wzorec ziem rzadkich w tektytach i w skorupie ziemskiej uznać należy za przypadkowy.

Badania dr. Haskina prowadzone są nadal.

— Obecnie przeprowadzam analizę meteorytów i materiału wydobytego z wnętrza ziemi, uzyskanego z kopalń diamentów w Afryce Południowej. Co chciałbym zbadać — do czego się najwięcej palę — to kawałek księżyca. Ale kto nie chciałby tego zrobić?

(ms) — USIS



Stanisław Łukocz

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA

INSPEKTOR — KOŚCIUSZKO — CZCIGODNA STAROŻYTNOŚĆ

Mało kto wiedział o istnieniu w Polsce przed pierwszą wojną światową szkoły ks. Jana Gralewskiego. Potrzeba było... emigracji, aby wspomnieć o niej na łamach londyńskich "Wiadomości", zacni moi koledzy: Polo Czerwiński i Henio Przyborowski.

Dziwną i trudną do opisanego atmosferę miała ta szkoła, położona na wsi, w pałacu ofiarowanym przez Maurycego Zamoyskiego, wiążąc na całe życie, trwałymi węzłami przywiązania wychowanków i nauczycieli.

Zagubiony pośród obcego otoczenia wracam do niej myślami i pierwsze moje wspomnienie właśnie jej poświęcam.

Poza murami wielkiego parku przechadzali się od czasu do czasu strażnicy rosyjscy. Zandarmi wystawiali na stacjach. Dochodziły wiadomości o manifestacjach w Warszawie i w Łodzi, rzucano bomby na gubernatorów carskich, a tu, w Starej Wsi, jak na wyspie wśród łąd, uczyła się gromada chłopów czym była Polska, upajała się legendą, wsłuchiwała w dźwięki orkiestry szkolnej, przypominającej, że "ostre kosy nasze" nie powinny zarzewieć.

Z tym patriotyzmem przesadzano nieco. Wsączano potężne jego dawki do organizmów — zdrowych.

Obchody, rocznice, ceremonie, pieśni, chorągwie, podniosłe przemówienia nie miały końca.

Po patriotyzmie następowała — religia. Przygotowania do spowiedzi, rekolekcje, chórne modlitwy wypełniały wiele godzin.

W obu tych wypadkach przesadzano. Byliśmy już w naszych domach rodzinnych wychowywani w duchu patriotycznym i religijnym. Tracono wiele czasu na wywalanie drzwi, które były otwarte na rozcież.

Najlepsze intencje wychowawców, pragnących nas przygotować do bohaterskich czynów, nie zawsze osiągały swój cel. "Gospodyni" mojej klasy, niewiasta wielce egzaltowana, kazała nam np. wypisywać przed spowiedzią niezliczoną ilość razy: "Wielki dzień się zbliża".

Siedzieliśmy godzinami w skupieniu rozpamiętując to zdanie, ziewając ukradkiem. Kiedy pewnego razu, wypisałem: "Wielki dzień się zbliża — wakacje!!!" — paniusiaomal nie zemdlała.

Po czterech latach władze rosyjskie odmówiły zezwolenia na otwarcie wyższych klas. Klasy te zorganizowano w Galicji, w Surochowie pod Jarosławem i w Prokocimiu pod Krakowem.

Wizyta inspektora rosyjskiego przyczyniła się do zakazu.

Było piękne słoneczne południe, — bo dajże w kwietniu — kiedy miał się odbyć jakiś obchód. Wszyscy uczniowie i profesorowie zebrali się na placu przed szkołą.

Uroczystość rozpoczął pochód przed gmachem uczelni z naszą orkiestrą na czele.

"Bartoszu! Bartoszu!

Oj, — nie traćwa nadziei...

Bóg pobłogosławi,

Ojczyznę nam zbawi!

Grzmiały trąby mosiężne orkiestry, w której i ja, entuzjasta muzyki, dąłem na waltorni.

Pochód dochodził właśnie do głównej alei parku, gdy nagle nakazano ciszę i poniechano dalszej uroczystości.

Od strony bramy wjazdowej ukazała się grupa gości i powoli zbliżała się ku nam. Towarzyszył jej jeden z naszych wychowawców, zaczerwieniony i podekserwowany. Wkrótce poznaliśmy po mundurach, że przybyłymi są rosyjski inspektor szkolny i urzędnicy inspektoratu.

— Zdrastwujcie!... — zawołał inspektor.

Popatrzałem na rząd złotych guzików zdobiących jego pierś i wydatny brzuch.

— A eto chto takoję?... —

Powiodłem wzrokiem za jego ręką. Palec inspektora wskazywał na portret Kościuszki, niesiony przez jednego z kolegów.

— Eto — Kościuszko! — zająknął się towarzyszący inspektorowi nasz profesor.

— Kostiuska... — pokiwał głową rosjanin, — Nu, ładno... ładno.

Zapędzono nas do klas, gdzie mieliśmy oczekiwać na dalszą inspekcję. Czas się dłużył. Do tablicy podszedł świetny karykaturzysta, Manius Filipkowski i wyrysował kredą dostojną postać inspektora. Na drugiej połowie tablicy naszkicował wielką świnie.

Szczęście chciało, że na chwilę przed wejściem inspektora wpadł do klasy profesor, pan Tyszek. Rzucił się do tablicy i rękawem zmasał dzieło karykaturzysty.

— Dosyć już naszych pomarło na Sybirze — powiedział.

Siedząc samotnie podczas długich godzin nocy poświęciłem wiele stronice pamiętnika tej niezapomnianej szkole.

Jest tam opisany "Klub naszej paczki", do którego należeli piszący powieści Adaś Swieżynski, spadkobierca wielkiego imienia Antek Konarski, Lulus Floryanowicz, i wiecznie roześmiany Henio Przyborowski. Są sylwetki nauczycieli, niejednokrotnie ludzi dziwnych, zamyślonych, zanurzonych w wizję przyszłości.

Może kiedyś ktoś o nich przeczyta. Może sobie przypomni o tym co bezpowrotnie minęło.

Cudowne były letnie wakacje, dni wielkich emocji i radości.

Wszystko, co nasze dzieciństwo otaczało, tchnęło urokiem i prawdziwym czarem. Nasz ukochany dwór, otoczony parkiem, domownicy ze starym Janem — królującym w kuchni — na czele, goście,

polowania, wycieczki i okolice, wszystko to układało się w mojej pamięci, jak film barwny, pełen wrażeń i niespodzianek.

Jedną z najdostojniejszych mieszkanek naszego domu była moja babka. Pamiętam ją, jako staruszkę korpulentną, ale słabego zdrowia. Pomimo dolegliwości była zawsze dobroduszną i wesołą.

Pewnego razu babunia siedziała pod wielkim jesionem w parku.

W alei wiodącej od bramy wjazdowej, ukazał się starannie ubrany jegomość. Jak się wkrótce okazało był to rymarz z pobliskiego zapadłego miasteczka Skrzynna. Skrzynno do czasów najazdów szwedzkich było ponoć ruchliwym ośrodkiem handlowym. Za czasów Karola Gustawa, zniszczono je doszczętnie. Nie podniosło się już nigdy z upadku.

Główną jego ulicę zwano: "Do młyna jadą". Inną, skromniejszą — "Do strugi jadą". Mało kto jeździł po tych ulicach. Spacerowały po nich — kozy.

Mieszkańcy Skrzynna, uważali się jednak nadal za znacznie wyższych od okolicznych chłopów.

Obywatel Skrzynna, rymarz, zbliżył się z godnością do babki i zdjąwszy kapelusz przemówił:

— O jakże mi jest przyjemnie, wielce szanowna Pani, oglądać taką szlachetną starożytność!...

Babka podała mu rękę do ucałowania.

Opowiadała nam potem jaki to zaszczytny tytuł otrzymała od rymarza ze Skrzynna.

Innym razem, już znacznie później, rozczerował ją ktoś inny.

W przeddzień balu babcia z przerażeniem stwierdziła, że jedna z jej córek, nie ma białych rękawiczek. W braku stałej komunikacji wyręczano się w owych czasach "posłańcami".

— Zawołajcie mi tu Walentego Podrygałę... — poleciła babcia.

Kiedy "posłaniec" się zjawił, wywiązał się następujący dialog:

— Mój dobry Walenty, — rozpoczęła

dyskusję babcia — dla naszych panienek potrzebne są białe rękawiczki na bal, co się ma odbyć już jutro. Nikt inny tylko Walenty potrafi załatwić sprawnie ten sprawunek. Proszę — wyciągnęła ku Walentemu rękę — tu są trzy ruble i kopiejek piętnaście gotówką. Za trzy ruble kupi Walenty u pani Herdin rękawiczki białe wedle tej miary co ją daję. A za piętnaście kopiejek kupi Walenty buteleczkę oleju rycynowego.

Zbliżyły się święta wielkanocne i babcia, w przewidywaniu przedzeń, uważała olej rycynowy za nieodzowną część święconego.

Stary Walenty Podrygała wysłuchał poleceń w skupieniu. Wkrótce wyruszył w drogę.

Dok. na str. 15

Następnego dnia przed wieczorem ruch się zrobił w kredensie.

Po chwili do kancelarii ojca wszedł lokaj.

— Proszę jaśnie państwa, Walenty powrócił z miasta, — zameldował uroczyście.

Powitanie "posła", odbyło się w obecności nas wszystkich.

— No, jakże się udało, mój zacny Walenty? — zapytała babcia.

— Proszę jaśnie pani, — odpowiedział "poseł" — udać to się udało, za przeproszeniem wedle rozkazania, ale com się nadzwigał, tom się nadzwigał rzetelnie!

— Jakto mój Walenty? — zdziwiła się babcia — Czym się tak Walenty namozolił? Rękawiczki to lekki sprawunek, a trochę oleju też niewiele waży.

— Proszę jaśnie pani, — odrzekł z godnością Walenty, — tego "uoleju" za przeproszeniem rycynowego, to chyba pół puda mi dali. Gąsior taki że z ledwością go przydzwigałem!

— Matko Boska Nieustającej Pomocy, — westchnęła zdumiona babcia — na co Walenty przytaszczył cały gąsior, przecie za piętnaszcze kopiejek powinna być małeńka flaszeczka! No, a gdzie są rękawiczki? — zapytała.

— Żadnych rękawiczek nie kupilem — obwieścił Walenty — Za całe pół-trzynasta-złotego przez piątki, kupilem "uoleju" z przeproszeniem rycynowego. Po próżnicy to ja nigdy nie chodzę...

W tej chwili, Walenty Podrygała stracił pewność siebie. Pochylił głowę, i zaczął się spowiadać.

— Tak zrobiłem w tym mieście, jak mi to jeden "uobywatel" wytłumaczył i dopraszam się łaski jaśnie pani, myślałem, że zrobiłem akuratnie. A było to tak, — ciągnął opowiadanie — Przystąpił do mnie na rynku ten "uobywatel" i pyta: "A cóż to gospodarzu, macie jaki fenteres w naszym mieście?" Pomyślałem sobie, że trzeba coś grzecznie odpowiedzieć kawalerowi, żeby go nie obrazić, więc rzekę: — A tak. Nasza Jaśnie Pani dała mi trzy ruble i kopiejek piętnaszcze, żebym kupił białe rękawiczki i "uoleju" bo to święta nadchodzą i każdego brzuch boli. Tak sobie gwarzyśmy z tym "uobywatelem" na rogu ulicy, a tutaj ludzie idom po chodnikach jeden za drugim jak na jakie procesje.

— "A cóż to, wielkiego miasta nie widzieliście gospodarzu?" — pyta mnie ten "uobywatel".

— Byłem w Przytyku na jarmarku — mówię, — ale tak żeby ludzie chodzili tam i nazad po ulicy, to jeszcze nie widziałem.

— "A to widziecie gospodarzu — powiada do mnie — my mamy tu dzisiaj wielkie święto. Nasze miasto żeni się z Kielcami. Nie macie poco szukać tych rękawiczek bo wszystkie sklepy zamknięte. Pójdziemy lepiej do traktierni i wypijemy po jednym. Potym kupicie uoleju, bo apteka otwarta i wróćcie z Bogiem do domu. Musicie "uoleju" kupić więcej, bo Pani się będzie gniewała, że chodziliście po próżnicy".

Piliśmy tego jednego coś z godzinę a może i więcej, a tu patrzę, "uobywatel" gdzieś przepadł. Zapadł się jak pod ziemię.

Podszedł do mnie jakiś grubas w fartuchu i mówi, że późno i trzeba płacić za zakąski i wódkę. Co miałem robić? Zapłaciłem pół rubla i poszedłem do apteki. Kupilem za resztę pieniędzy "uoleju" i go tutaj przydzwigałem.

Wyjął z kieszeni garstkę pieniędzy i wyciągnął rękę ku babuni.

JAK OBUWALI SIĘ PRADZIADOWIE?

... a tak małe ich nóżki, że za trzewik dziewczynie swawolnej służy kwiatek nie większy od lilii polnej..."

Tak w pierwszej wersji mickiewiczowskiej ballady zachwalał wdzięki Polek stary Budrys, który miał "trzech synów, tęgich jak sam Litwinów". Taka opinia obowiązuje, to też nie dziwimy się, gdy na podstawie znalezisk wykopaliskowych, wizerunków na starych pieczęciach, na dawnych rzeźbach i obrazach stwierdzamy, że obuwiu zajmowało w elegancji nie tylko polskich prapababek, ale i prapradziadków sporo miejsca.

Prace archeologiczne prowadzone ostatnio w Gnieźnie, Poznaniu, Wolinie, Gdańsku, Opolu i Wrocławiu pozwoliły na odnalezienie dobrze zachowanych fragmentów obuwia skórzanego z okresu od X do XIII w. Fragmenty te wskazują na różnorodność obuwia w Polsce w tych odległych latach. Były to przeważnie trzewiki o niskiej, sięgającej kostek cholewce, lub t. zw. kierpce, a więc obuwiu wykonane z jednego kawałka skóry (noszą je do dziś górale). Przylegały one dobrze do stopy i przymocowywano je długimi rzemykami. Trzewiki miały sztywne podeszwy, kierpce natomiast miękkie. Obcasów nie noszono, a kształt obuwia był do zarysu stopy. Cholewki niektórych trzewików ozdobione są pięknym haftem lub perforacją (dziurkowaniem). Ślady po ostrogach wskazują, że nosili je również przedstawiciele rycerstwa. Ten rodzaj obuwia można zobaczyć m. in. na grobowcu Kazimierza Wielkiego w katedrze w Krakowie.

Cennym dokumentem epoki jest — także i pod względem kostumologicznym — słynny ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim w Krakowie. Stwosz bardzo dokładnie wyrzeźbił różne typy obuwia, noszonego wówczas w Polsce, m. in. ciżmy o dość wysokiej cholewce i wydłużonym, zagiętym ku górze czubku oraz bardzo modne w XV w. obuwiu z niską cholewką, głęboko wyciętą przyszwą, krótszym czubkiem i dwoma paskami na podbiciu. Widzimy też piękne wyrzeźbione buty z ostrogami, z wyłożoną długą cholewą i długim zakrzywionym do góry nosem. W "Kodeksie Bohema" w miniaturze "garbarz" przedstawiony tam rzemieślnik nosi wysokie do kolan buty z żółtej, miękkiej fałdującej się skóry.

— Wydostałem spod cegły trochę uciulanego grosza i przyniosłem, żeby rachunek oddać sprawiedliwie. Stary Walenty nie jest żadnym urwipołciem i rozkazanie wypełnia uczciwie... — zakończył swoją opowieść.

Panienci pojechały na bal bez białych rękawiczek.

Gąsior oleju, — z przeproszeniem rycynowego, — stał w piwnicy długie lata.

Drobne, nieważne wspomnienia, a przecie wracają z oddali lat, jak poszum drzew w starych parku, jak belkot strumyka, jak bajka opowiadana przez babunię przy łóżku zasypiającego wnuka.

Moda niezwykle wydłużonych czubków, która pociągnęła za sobą wydanie w szeregu krajów (np. we Francji i w Anglii) przepisów regulujących długość nosków, jakie dozwolone było nosić szlachcie, a jakie innym warstwom ludności — w Polsce nie spowodowała żadnych zakazów. Bogate kobiety w tych czasach używały lekkiego zdobionego wstążkami, a nawet kamieniami i perłami obuwia z brokatów lub złotogłowia.

W epoce Odrodzenia przez jakiś czas noszone były trzewiki o bardzo szerokich nosach zwane "niedźwiedzią nogą" lub "mordą wołu", ale utrzymały się niedługo. W XVI i XVII w. obuwiu w Polsce ma prawie zawsze czubki ostre. Takie obuwiu nosił Stefan Batory (na portrecie malowanym przez Mikołaja Kobera) i Zygmunt III. Ten ostatni na portrecie robionym przez Dolabellę (znajduje się on na Wawelu) nosi buty długie do kolan z wywróconą i zdobioną haftem górną częścią cholewy. Buty są sznurowane ze trony zewnętrznej. Chłop polski nosił także długie buty, jednak mniej bogato wykończone.

W Sztokholmie, w Muzeum Livrustkammaren znajdują się buty polskie, wykonane dla Karola XI, a obrazujące polski, najbardziej rodzimy ówczesny styl: są to długie buty z żółtego safianu z cholewą wyższą z przodu (zwaną wichlarzem) zeszywaną po bokach, na wysokich obcasach (ukazały się dopiero w XVII w.) z podkówkami. Dopiero nieco później zaczęto w Polsce nosić buty ze sztywnej skóry, z szeroko zakończoną u góry cholewą, sięgającą do pół łydki i z dużymi, umieszczonymi z przodu przyszwymi kłami. Ponad cholewami widać było bogate koronki lub pęki wstążek, kończące brzeg krótkich aksamitnych spodni.

Dokładne opisy XVIII-wiecznego obuwia w Polsce znajdujemy u księdza Jędrzeja Kitowicza. Píše on tak: "trzewiki w modzie były u dam dystygowanych irchowe, malowane w kwiaty. Po zarzuceniu następnie trzewika malowanego — obuły się w czarny zamszowy, pręgą na trzy palce szeroką od wierzchu aż do palców srebrem lub złotem haftowaną, ozdobionym. Proste szlachcianki i wiejskie kobiety zażywały trzewika czarnego, gładkiego, skórzanego, a niektóre w błotne czasy i zimowe — bocików opiętych z cholewkami pod kolano długimi, na kloku cienkim tak, jak u trzewika, Zażywały też bocię i trzewików żółtych i czerwonych".

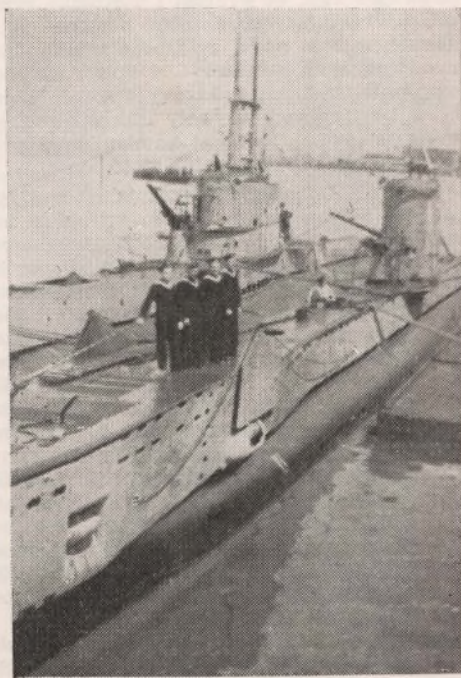
Potem nastąpiły trzewiczki białe, atłasowe i grodeturowe rozmaitych kolorów, gładkie, bez haftów, nie tasiemką lub wstążką zawiązywane, ale zapinane na srebrną sprzączkę. "Szewcy warszawscy — zaznacza Kitowicz — niezmieennie profitowali na tym towarze, który z tego miasta rozchodził się po całym kraju". Kronikarz pisze dalej: "... Buty w używaniu były troistej koloru żółte, czerwone i czarne. Pospółstwo i szlachta drobna różniła się od uboższych od siebie botami i których były przyszwę nowe, czarne, a cholewy żółte lub czerwone, podszarzone, z żądzy zwyczajnej naturze ludzkiej, pokazania się czymś więcej niż jest".

Stąd właśnie urosło szydercze przysłowie popularne w Polsce po dziś dzień: znać pana po cholewach.

K. BOERGEROWA



Blaski i nędze wojny na "Sokole"



W bazie. Na pierwszym planie O.R.P. "Sokół", na drugim — okręt podwodny angielski.

3.

Przyjechałem właśnie z siedmiodniowego urlopu, który spędziłem u swojej dziewczynki w Dundee, kiedy mi oznajmiono, że wyruszamy do Aleksandrii. Pomyślałem sobie — dobra nasza, będę mógł co tydzień wpadać do Dundee do swojej panny; trzeba bowiem wiedzieć, że jest taki mały port w Szkocji, który nazywa się Alexandria.

Ale w dwa dni potem oczy mi się otworzyły. Zawołano nas do składu mundurowego i każdy dostał nowe sorty, a wszystko białe, nie wyłączając krótkich do kolan spodnek. Gęby nam się wydłużyły, a ja zrozumiałem, że owa Aleksandria, o której się tyle gadało, nie znajduje się w Szkocji tylko w Egipcie.

Jakoż niebawem spakowaliśmy manatki i wyruszyliśmy do Gibraltaru. Podróż, jak podróż. Tyle się już nawałęsałem po morzu, że i tym razem nie odczułem większej różnicy pomiędzy życiem w bazie i na okręcie podwodnym. To jedynie, że kości trochę bolały od spania w hamaku, no i chleba było brak. Trzeba wiedzieć, że na okręcie podwodnym żarcie jest pierwszorzędne, ale z chlebem bieda. Nie można go ze sobą zabierać, bo zaraz pleśnieje. Dopiero w trzecim roku wojny dostaliśmy pewnego chłopaka ze Lwowa, który był z zawodu piekarzem i od tego czasu mieliśmy na pokładzie stale świeżutki chlebuś.

W Gibraltarze byłem po raz pierwszy. To miasto wybudowane na skale przypominało olbrzymie kretowisko. Anglicy

zryli całą górę, wybudowali tam składy żywnościowe, amunicyjne, opałowe, olbrzymi szpital i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. W samym mieście zadziwiła mnie jedna rzecz — paliły się tam na ulicach latarnie, okna nie były zasłonięte. Przyzwyczajony do zaciemnienia nie mogłem ani rusz skapować dlaczego w Gibraltarze ta ważna bądź co bądź reguła obrony przeciwlotniczej nie jest stosowana. Później mi wyjaśniono, że z Gibraltarem sąsiadowała wioska hiszpańska La Linea, oddzielona od posiadłości brytyjskiej tylko wąskim kanałem. Wioska ta, z której codziennie przybywało do Gibraltaru do cięższej pracy fizycznej wielu robotników hiszpańskich, była oczywiście normalnie oświetlona. Zaciemniony Gibraltarczyk stanowiłby świetny cel dla bomb włoskich i niemieckich.

W Gibraltarze nie popasaliśmy długo. Pewnego pogodnego popołudnia odcumowaliśmy od statku bazy H. M. S. Mads-ton i popłynęliśmy na Maltę. Konwój, do którego nas przyłączono, był duży; składał się z 14 okrętów wojennych i 6 czy 7 statków handlowych, wiozących prowiant i amunicję.

Pogoda, jak zwykle na morzu Śródziemnym, sprzyjała; fali nie było prawie widać. Błękitne morze i modre niebo, czyste powietrze, które wchłania się pełną piersią, słowem przejażdżka turystyczna. Aż tu na czwarty dzień nad ranem od strony słońca pojawiły się nagle samoloty niemieckie. Były to te same Junkersy 88 i Dornieri, które znałem tak dobrze z Polski. Nadlatując falami zrzucały bomby.

Było to piękne i wstrząsające widowisko. Bomby, padając, wzbijały ogromne fontanny wody. Z okrętów wojennych odezwały się działa przeciwlotnicze. Pociski, pękając wysoko w górze, pozostawiały po sobie mleczne obłoczki. Stojąc na pokładzie "Sokoła", który nie strzelał, przypatrywałem się bitwie i wydawało mi się, że jestem w kinie.

Ale widz w tym kinie mógł też oberwać. Tego dnia obojętne było obustronne bez strat. Zrobione zostały tylko dziury w niebie i w morzu. Nalot trwał pół godziny. Jedne eskadry nadlatywały, inne przylatywały na ich miejsce, aż wreszcie uspokoiło się zupełnie.

Samoloty nie pojawiły się więcej. Ale następnie, mniej więcej co drugi dzień, zawsze z regularnością zegarka o wschodzie słońca, spadała na konwój ulewa bomb. Im bliżej wyspy tym naloty były bardziej skoncentrowane. Nim przybyliśmy do celu nieprzyjacielowi udało się zatopić dwie łajby handlowe. Nasze okręty wojenne zestrzeliły sześć statków wojennych.

Przyznam się, że ta podróż kosztowała mnie w końcu trochę nerwów. Nie jest rzeczą przyjemną kiedy się człowiek znajduje w położeniu bezbronnej kaczki.

No, ale wszystko ma swój koniec. Po 12 dniach ukazały się wreszcie brzegi Malty. Spodziewałem się tropikalnego

krajobrazu pełnego drzew i kwiatów, a tu niech licha porwie! Gołe skały i tylko tu i ówdzie jakaś suchotnicza palma. Po lewej stronie zatoki, do której wpłynęliśmy, ciągnęły się zabudowania La Valette, stolicy wyspy, a po prawej — wznosiła się wyspka połączona z Maltą mostem, zowiąca się Lasaretto. Tam właśnie znajdowała się baza okrętów podwodnych. Była to najniebezpieczniejsza z baz, które znałem. Zbudowana częściowo w głębi góry, a częściowo z olbrzymich bloków kamiennych, prawdopodobnie w w. XIII, wyglądała jak więzienie, choć w rzeczywistości początkowo jej przeznaczenie było zgoła odmienne. Znajdował się tam, mianowicie, szpital dla trędowatych (skąd też i nazwa wysepki). Później z biegiem lat, gdy trąd ustąpił, zorganizowano w tym ponurym gmazysku dom publiczny. Przeglądając stare archiwum znalazłem spis pensjonariuszek. Na pierwszym miejscu, co za traf! — Polka, jakaś Korabiewiczówna, czy Mackiewiczówna.

Postanowiłem zamieszkać poza bazą. Razem z dwoma kolegami wynajęliśmy dom prywatny, przyzwoicie umeblowany, za nędzną cenę półtora funta tygodniowo. W owym czasie rozpoczęły się już systematyczne naloty na wyspę i większość mieszkańców przeniosła się poza miasto w góry. Domy wynajmowano za byle co.

Dwa słowa o Maltańczykach. Czort wie co to za ludzie! Nie mówią ani po włosku, ani po arabsku. Język ich jest dziwną mieszaniną dialektów włoskich i lewantyńskich. Chodzą co dzień do kościoła i proszą Pana Boga, żeby im pozwolił coś ukrąść. Ale ostatecznie dadzą się lubić, zwłaszcza ci z wysepki Goso, dokąd od czasu do czasu wpadałem po jajka. Cała wyspa była jednym wielkim kurnikiem, po którym prócz rasowych kur i kogutów krzątały się cudne dziewczyny.

W dwa tygodnie po przybyciu na Maltę wyruszyliśmy na pierwszy patrol w okolice Neapolu. Płynęliśmy dokoła Sycylii. Z daleka ujrzałem wiecznie dymiący stożek Wezuwiusza.

Na czwarty dzień między Capri, a półwyspem Campanella z zatoki wysunął się olbrzymi konwój włoski. Było tam 15 okrętów wojennych i statków handlowych. Największy spośród nich był to pasażer M. S. Saturnia o wyporności 24 tys. ton. Tego właśnie postanowił ustrzelić kapitan Karnowski.

Dokonał namiaru, kazał odpalić torpedy. Ja strzelałem. Cztery torpedy poszły jak ta lalka. Czekaliśmy z zapiętym tchem na wynik. Po 30 sekundach rozległ się jeden wybuch, potem w krótkich odstępach czasu jeszcze 10 dalszych. Wstrząsy kadłuba okrętu podwodnego potwierdzały to co każdy z nas od razu zrozumiał: bomby głębinowe. Trzeba wiedzieć, że po odpaleniu pierwszej torpedy wynurzył się na chwilę pomost "Sokoła". Wprawdzie natychmiast został

uruchomiony pomocniczy zbiornik do szybkiego zanurzenia, ale Włosi nas zauważyli. Całe szczęście, że patałachy marine strzelali, bo nie miał by kto opowiadać tej historii.

Spędziliśmy cztery godziny pod wodą, sprzecząc się zawzięcie o pierwszy wybuch. Jedni byli zdania, że to nasza torpeda, inni, że bomba głębinowa. Kapitan Karnowski obstawał przy pierwszej teorii. Nic dziwnego — przecież to on strzelał.

Kiedy wreszcie z zapadnięciem nocy wynurzyliśmy się na powierzchnię morza telegrafista złapał depeszę z Admiralicji Angielskiej:

„Gratulujemy sukcesu. Zatopiliście krążownik pomocniczy „Citta di Palermo” 7 tys. BRT”.

To się nazywa szczęście: celować do wieloryba, a trafić w delfina.

W drodze powrotnej do bazy mieliśmy jeszcze jedno spotkanie: w nocy, w pobliżu Palermo spostrzegliśmy samotny statek handlowy o wyporności ok. 5 tys. ton. Wypuściliśmy trzy torpedy, czwarta się zacięła. Pudło.

— Załoga działa na pomost! — krzyknął kapitan Karnowski.

Artylerzystą naszym był wówczas górnik z Francji, niejaki Edward Szrama. Chłopak równy i szybki w mgnieniu oka wyskoczył ze swoimi pomocnikami na pokład. Trzy pierwsze pociski zniosły pomost handlowca. Ale kapitan tej łajby musiał być chytrym człowiekiem. Zamiast uciekać dał całą parą w tył wprost

na nas. Rufa handlowca zbliżała się gwałtownie, groziła zderzeniem. Szrama nic sobie z tego nie robił. Po 33 strzałach statek zaczął tonąć, a po 10 minutach wystawał mu już z wody tylko dziób. Załoga zdążyła spuścić trzy, czy cztery łódzie ratownicze. Zapewne nie wszyscy się uratowali, nie wiem. Kto by tam o takie rzeczy dbał w czasie wojny. Zatopiona łajba nazywała się zdaje się „Rosario”.

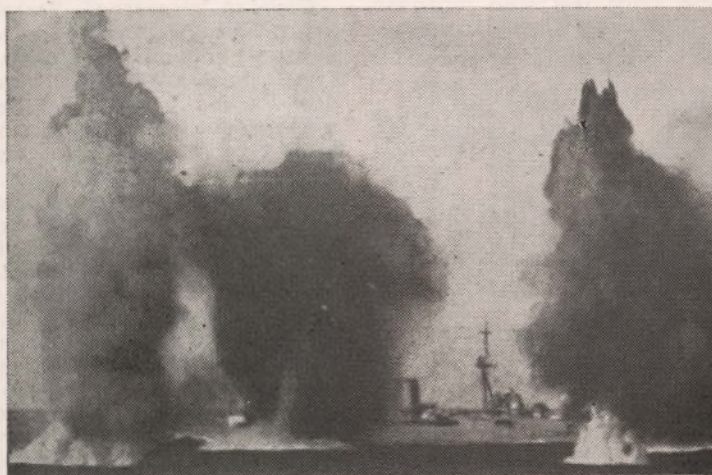
Nie zapomnę nigdy jak po spełnieniu

zadania do centrali wśród Szrama. Czarny był od dymu na głowie, w oczach nie wygasła jeszcze zawziętość. Zbliżył się do stojącego w centrali pierwszego oficera, kapitana Kwiatowskiego, i beczceremonialnie odsunął go na bok, żeby przejść do przodu.

Kpt. Kwiatkowski tylko się uśmiechnął.

(D. c. n.)

Jerzy R. Fusiarski



W konwoju na Malcie. Bomby spadają jak grad wokół krążownika angielskiego, nie uszkadzając go jednak.

Szlakiem jaskółek

(Dalszy ciąg z nr. 33)

Dnieje już kiedy opuszczamy dość wygodny lodowiec Ceschaux i wступujemy na stromy, spekany śnieg zalegający kotlinkę pod „Przełęczą Jaskółek”. Ta niepozornie niska z daleka przełęcz tworzy nad nami potężną barierę skalną wysokości 500 m. Idziemy coraz ostrożniej, unikając zdradzieckich, bo przysypianych śniegiem szczelin lodowych, tych, jak je nazywają, skrzynek pocztowych do wieczności.

W pewnej chwili słyszę krótki okrzyk: „Uwaga, leć!” i widzę znikającą sylwetkę Stasia. Momentalnie wbijamy czekany i zapieramy się mocno w śniegu. Linia asekuracyjna wypręża się i staje. Pod idącym na przód Staszkiem Siedleckim załamał się most śnieżny w chwili, gdy dochodził do jego końca. Teraz wisi na linie jak marionetka sześć metrów pod nami, huśtając się na tle ciemnozielonej czeluści głębokości kilkudziesięciu metrów. Słychać jeszcze pogłos resztek mostu śnieżnego rozbijającego się gdzieś głęboko we wnętrzu szczeliny.

Jeden z nas dobiega do szczeliny.

— Jak tam, Staś?

— W porządku, nic mi się nie stało.

Prędko odwiązuję się i wrzucamy wolny koniec liny z pętłą do szczeliny. Wyciągamy plecak. Po chwili wychodzi częściowo zapierając się plecami i nogami o ściany, a częściowo ciągnięty przez nas, Staś.

Mamy już pierwszą, bardzo ważną, naukę na przyszłość. Dobrze jest chodzić po lodowcach w zespole większym, niż dwuosobowy, gdyż w wypadku wpadnięcia do szczeliny jednego z alpinistów i nie daj Boże jakiegos zranienia uniemoż-

liwiającego samodzielne poruszanie się towarzysza pozostały na powierzchni nie ma praktycznie zbyt dużych szans na wydobycie go z otchłani.

Nastrój napięcia powoli mija i rozładowuje się. Po chwili ogarnia nas wesołość. Cieszymy się z tak szczęśliwego zakończenia tej bądź co bądź ryzykownej przygody. Jakiś czas trwają jeszcze żartobliwe złośliwości.

Mijamy ostatnie, groźnie sterczące seraki i dochodzimy do szczeliny brzeżnej. Krótka narada, w którym miejscu najlepiej „puścić”, przypinamy do butów raki i wchodzimy kolejno na stromy lód. Prowadzący Staś rąbie czekaniem stopień po stopniu. Ostrożne przejście stromego mostu śnieżnego i jesteśmy na skale. Związani teraz w dwie dwójki — dwóch Staszków oraz Witek i ja — posuwamy się mozolnie w górę nadzwyczaj stromym i kruchym żlebem. Każdy stara się iść jak kot, dotykając jak najmniej skały, gdyż wszystko się rusza. Nieostrożne chwycenie się ruchomego bloku grozi zasypaniem towarzysza lawiną kamienną. Co chwila ostrzegawcze okrzyki: „Uwaga, kamień!” Rzeczywiście, sypie się bez przerwy. Drobne kamienie usuwają się nam spod nóg, większe i mniejsze bloki, nie wiadomo, z jakiej przyczyny urywające się w górę, przelatują nad nami ze złowrobnym świstem.

Moja kolej na prowadzenie. Wchodzę pierwszy w strome, prawie pionowe, zacięcia pokryte do połowy lodem. Za mną idący z „lotną asekuracją” koledzy. O dokładniejszej asekuracji nawet nie myślimy. Teren jest dla nas zbyt łatwy, żeby groziło któremuś odpadnięcie z powodu trudności drogi, a wbijanie haków w

tę kruszyznę nie daje właściwie żadnej pewności utrzymania towarzysza. Przeciwnie, przedłużenie czasu wspinaczki na skutek lepszej asekuracji stworzyłoby dodatkowe niebezpieczeństwo w postaci niepotrzebnie długiego pozostawania w terenie będącym pod bezustannym ostrzałem większych i mniejszych kamieni.

Szczelina robi się coraz węższa, możliwość znalezienia jakichś nawet minimalnych stopni na jej ścianach jest coraz mniejsza muszę więc końcem buta kruszyć brzeg lodu zalegającego szczelinę.

Wtem... pęka lodowa skorupa, na której stoję i wyzwala leżące na dnie bloki kamienne. Krzyczę co sił: — „Uwaga!” — ale co to pomoże? Wszyscy stoją w prostej linii pode mną w trudnym terenie, nie mogąc się ruszyć ani na krok w lewo, czy w prawo. Kilkudziesięciokilowe bloki kamienne leżą z hukiem prosto na nich. Robi mi się gorąco. Jedno celne uderzenie, a wylecimy wszyscy ze swoich stanowisk, ażeby wylądować 400 metrów niżej.

Lawina dobiega do Witka. Widzę jak usiłuje uniknąć ciosu, a moment później osuwa się z jękiem na bok. W sekundę później całą porcję dostaje Staś. Nie patrzy już w górę na lawinę, lecz przytuliwszy się do ściany zasłania głowę rękami. Ostatni, Staszek Worwa, nie stoi na szczęście w linii ostrzału. Lawina przechodzi obok niego. Robi się ciszej.

— Zyciecie? — wołam.

— Trzymaj mocno — odpowiada Witek — nie wiem, czy nie mam nogi złamanej, ale zdaje się, że gorzej jest jeszcze ze Stasiem.

Nie mamy czasu na zastanawianie się nad obrażeniami. Dłuższy pobyt w tym miejscu to pewna śmierć. Trzeba się momentalnie zdecydować: wycofujemy się, czy idziemy naprzód. Obaj poszkodowani mimo bólu starają się poruszać o

wiasnych siłach. Bliższa i bezpieczniejsza jest droga na przełęcz.

Uciekamy z fatalnego żlebu w prawo na grządkę, która choć również krucha — jest jednak bezpieczniejsza. O godz. 10 rano stajemy na Col des Hirondelles, aby zrobić pierwszy (i jedyny zresztą tego dnia odpoczynek). Oglądamy skutki lawiny kamiennej. Staś dostał w plecy i ma bardzo obolałą, stłuczoną i spuchniętą łopatkę. Witek siniaka na swym potężnym udzie koloru prawie czarnego wielkości dużego półmiska. Obaj nie myślą o powrocie, choć jest stąd możność dość łatwego zejścia na włoską stronę — mimo, że każde poruszenie sprawia im wiele bólu.

— Rozejdziemy się — twierdzą.

Wypakowujemy jedzenie i gotujemy herbatę, starając się przy tym jak najwięcej odpocząć. Słońce silnie praży. Nagle ciszę górską przerywa potężny grzmot z następującym po nim dudnieniem tak charakterystycznym dla spadającej lawiny. Rozglądamy się dokoła.

— Jest! — woła ktoś, wskazując palcem w stronę Aiguille Verte.

Rzeczywiście, w żlebie Hympera widać wyraźnie, mimo dużej odległości, kolosalną lawinę. Ruszył cały śnieg wraz z podkładem, który zalegał żleb. Tu właśnie wybieraliśmy się w razie gdyby upadła koncepcja Grandes Jorasses. Nieprzyjemnie robi się na samą myśl, że mogliśmy się tam właśnie teraz znajdować. Tak, byłibyśmy o tej porze akurat w środku kuluaru. Powietrze aż dudni od wstrząsów. U stóp ściany gromadzą się zwały śniegu. Tym razem wywinęliśmy się.

O skutkach lawiny dowiedziałem się kilka dni później, kiedy spotkałem ex-mistrza świata, czołowego narciarza i zarazem przewodnika - alpinistę, J. Coutteta, oklejonego plastrami.

Siedział on wówczas boczną grzędą wraz z dwoma Francuzami. Lawina musnęła ich tylko swoim ramieniem. Towarzysze jego zginęli. On sam uniknął śmierci, ponieważ lina łącząca go z towarzyszami została zerwana w momencie, gdy stał pod przewieszką, która uchroniła go od lawinowych pocisków. Podobno Francuski Związek Narciarski przysłał momentalnie pismo z prośbą o zrezygnowanie z karty przewodniczej i poparł swą prośbę poważnym pucharem. Couttet ma w Chamonix sklep ze sprzętem sportowym. Żona jego (bardzo ładna) spodziewała się wówczas dziecka. Zdaje się, że usłuchał wtedy prośby Związku Narciarskiego, gdyż nie słyszałem później, żeby chodził jeszcze po górach w sensie wy-czynowym.

O godz. wpół do dwunastej po lekkim śniadaniu ruszamy dalej na najwyższy wierzchołek Jorasses — Wolher. Jesteśmy teraz 1960 m nad schroniskiem. Od szczytu dzieli nas jeszcze 800-metrowej wysokości bardzo stroma grań, wyglądająca stąd jak szeroka, wielka ściana. Wypatrujemy starannie drogę, którą powinna prowadzić, kierując się "nosem" taternickim i sprawdzamy z lakonicznym opisem przewodnikowym. Zgadza się.

Znów szczelina brzeźna, stromy śnieg, lód, skała, właściwa grań Jaskółek. Zaczynają się trudności wspinaczkowe do pokonania których nasze buty nie nadają się. Nakładamy więc trampki, a ciężkie buty i czekając idąc do plecaka, który znów powiększa swoją wagę. Śpiwór, płachta Zdarsky'ego (biwakowa), jedzenie, spirytus do gotowania, haki, lina, zapasowe ubranie i różne drobniaczki wypełniają plecak, który niemiłosiernie zawadza podczas wspinaczki. Sześć godzin



W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII

CUDOWNI LEKARZE

Godzina wieczorna. Zmrok zapadał. Siedzieliśmy w ransy przy ognisku gawędząc i kończąc szmaron. Stary Paragwajczyk, don Gregorio, który znał całe Alto Paraná jak swoją kieszeń kończył właśnie opowieść o cudownym wyzdrowieniu z ospy, na którą chorował w dziesięć lat po wojnie paragwajskiej.

Zaznaczyć trzeba, że zarówno w Paragwaju, jak i w Brazylii w części przyległej do Paragwaju, wszyscy liczą lata od wojny paragwajskiej. Mało ich obchodzi kalendarz stosowany na całym świecie cywilizowanym. Tolerują go jedynie w aktach, gdy notariusz nieomylnie i solennie twierdzi, że działo się to: „no ano de nascimento do Nosso Senhor...” W czasie czytania aktu kabokle słuchają notariusza, kiwają głowami i podpisują sami albo zlecają podpisanie piśmieniu świadkowi t. zw. rogo, po czym liczą lata po swojemu tj. od wojny paragwajskiej.

Inni znów kabokle, napływowi z Rio Grande do Sul, liczą lata od rewolucji w Rio Grande w r. 1893. Rewolucję tę nazywają: „revolução grande”. W ich pojęciu rewolucja ta nie ustępuje co do wielkości i doniosłości rewolucji francuskiej z r. 1789.

Zaledwie don Gregorio skończył opowiadanie, gdy odezwał się siedzący obok niego Ramon:

— Ja miałem również podobny wypadek. Działo się to w Nhacunday w Paragwaju nad rio Paraná niespełna dwadzieścia lat po wojnie paragwajskiej. Pracowałem jako madrinheiro w tropie brata na herwalach firmy Domingo Barthe, gdzie woziliśmy herwę. Byłem chłopcem, świat zaczął się do mnie dopiero uśmiechać.

Wszystko szło dobrze. Zbiory herwy właśnie się rozpoczęły, tarifejrow nie zbywało i tropa miała stale robotę. Harowaliśmy w niektóre dni od rana do wieczora zwożąc zieloną herwę do suzarni, czyli t. zw. barbacua. Nagle, gdy praca szła w najlepsze wybuchła w obozie epidemia. Była to choroba, której nikt nie znał, ani czuczo, czyli malaria, ani tyfus. Chory dostawał silnej gorączki, majaczył, zieleniał, żółkł i najczęściej nieprzytomny umierał.

Wezwano lekarza z Itapua, żeby zbadał co za choroba. Przyjechał i jak to oni: nem sim, nem não (ani tak, ani nie). Nagadał dużo, zganiał jeszcze więcej, że żyjemy i mieszkamy niehigienicznie bez moskiter i wychodków. Gadał jakby się z książki czytało. Kazał tępić komary, zapisać chininę i jeszcze jakieś proszki, wziął od patrona spore wynagrodzenie za niewykonalne dla nas rady

wyteżającej „gimnastyki” skalnej mija błyskawicznie. Idziemy cały czas z lotną asekuracją, co wymaga bardzo napiętej uwagi.

JERZY PIOTROWSKI

(D. c. n.)

i wrócił skąd przyjechał. Do końca epidemii nie pokazał się więcej.

Tymczasem choroba rozchylała się na dobre. Co druga ransza ktoś leżał chory. Nie potrwało długo, a zaczęły padać pierwsze ofiary pomoru. Grzebaliśmy je na polanie w lesie koło drogi wiodącej do rzeki Parany. Robota przy herwie ledwo, ledwo się tliła. Tropa mojego brata miała mało pracy i więcej się próżnowało, niż jeździło na zwózkę.

Chorzy, którzy leczyli się zgodnie z receptą lekarza z Itapua, umierali tak samo jak ci, którzy leczyli się sami. Niektórzy, zażywający zioła otrzymane od pobliskich Indian z Pirapitan, wracali do zdrowia.

Pewnego dnia poczułem w sobie coś złego. Nogi ociężały, dręczył mnie ból w krzyżu i w kościach, a głowa rozpalita się i gorzała powolnym ogniem. Zrozumiałem, że przyczepiło się do mnie chorońsko. Brat położył mnie w ranszy na tapczanie i pielęgnował jak umiał i mógł.

Na trzeci dzień gorączka się wzmogła, straciłem przytomność. Odtąd rzadko odyskiwałem zmysły. Paroksyzmy febrы powtarzały się. Krzyczałem, zrywałem się z posłania, majaczyłem, by opaść potem na łóżko i leżeć godzinami jak martwy. Męczyłem się w ten sposób dwa miesiące. Brat i patron, który dawał mi lekarstwa, uznali mnie w końcu za straconego.

Leżałem prawie bez ruchu w mojej maleńkiej ranszy, żółty, nieomal suchy, jak wędznący liść na drzewie. Przy tapczanie tlił się niewielki ogienek dla odpędzania komarów i much.

Pilem tylko wodę i żyłwałem lekarstwa leśne. Nie jadłem niczego. Byłem, jak powiadają: mais morto, que vivo (bardziej martwy, niż żywy), a mimo to dusza kołatała się jeszcze w ciełe.

I gdy tak powoli konałem, nie poznając ani brata, ani kolegów, obojętny na wszystko, śniło mi się, czy też przywidziało pewnego poranka przed wschodem słońca, że jakaś staruszka zstępuje jak by z obłoków do mojej ranszy.

Weszła cicho, jak promień, stanęła i patrzy.

Twarz miała dobrotliwą, ale tak starą i pomarszczoną, że podobnej nigdy w życiu nie widziałem, włosy białe jak mleko, a na głowie obszerna, czarna mantyle, pokrywająca ramiona.

Stała tak może kilka chwil i zapytała wreszcie z cicha, ale wyraźnie, czy chcę wyzdrowieć.

Skinąłem głową.

Dała mi wówczas następującą radę:

— Jesteś chory na żółtą febrę, ale to nie — wyzdrowiejesz. Każ sobie tylko przynieść kory z kabreuwy rosnącej nad potokiem. Niech wezmą tę korę z korzenia, wystającego ku wschodowi słońca, zagotują, a wywar dadzą ci pić.

Przebudziłem się i nie podnosząc z tapczana zawołałem brata. Gdy nadbiegł opowiedziałem swoje widzenie i zapytałem, czy spostrzegł w pobliżu jakąś kabreuwę.

OBIEKTYWEM PO BRAZYLII

P. Rosana Tapicava, zamieszkała w Poços de Caldas, przepada za kotami. Wszyscy o tym wiedzą i kiedy ktoś chce się pozbyć kociczka pozostawia go pod drzwiami pani Rosany. Zwierzaki łążą po całym mieszkaniu, udrapują się na lodówkę, meble, śpią w piecu, wchodzą i liżą potrawy, słowem czują się jak u siebie w domu. Służąca chodzi codziennie po resztki jedzenia do pobliskich restauracji. Prócz tego p. Rosana kupuje co tydzień 40 kilo sardynek dla swych ulubieńców.

Siedzi już od dawna sarkają na p. Rosanę domagając się usunięcia kotów z jej apartamentu. Zapach miłych zwierzków, których liczba przekroczyła już setkę, drażni ich ponowienie, a miauczenie, zwłaszcza w okresie godowym, nie daje im rękoma spać. P. Rosana i jej mąż walczą jednak jak lwy w obronie swojej menażerii. Ostatnio ponieśli jednak pierwszą klęskę. Oto Sąd Cywilny 8 Obwodu w Poços de Caldas skazał wszystkie koty p. Rosany na eksmisję z jej mieszkania.

P. Rosana zaapelowała.

* * *

Skoro już mowa o kotach to trzeba wiedzieć, że cieszą się one specjalnym uznaniem na przedmieściu Rio de Janeiro — Campo de Santana. Wątpić jednak należy, czy koty są z tego zadowolone.

Mieszkańcy Campo de Santana tak uwielbiają koty, że przegarniają każdego napotkanego kociego przybłądę, a na mniej oswobodzone zwierzęta urządzają prawdziwe polowania. Z dwóch względów: po pierwsze skóra kocia nadaje się najlepiej na tamburyny, jej dźwięk jest niezrównany, a po drugie — mięso kocie należy do poszukiwanych przysmaków i to nie tylko w chińskich restauracjach. Jeżeli u zamożnych przyjaciół w Rio de Janeiro podadzą ci na obiad królika jedz to

— Rośnie zaraz za ranszą nad potokiem — odparł ucieszony.

Zdziwiłem się skąd się to drzewo wzięło w pobliżu obozu. O ile pamiętałem koło naszego obozu nie było ani potoku, ani kabreuwy.

Brat opowiedział mi wtedy, że w czasie mojej choroby przeniesiono obóz na inne miejsce i że znajduje się w nowej ranszy, nie zaś w tej, gdzie zachorowałem. Kabreuwa, rosnąca nad potokiem, ma istotnie główny korzeń wierzchu ku wschodowi słońca.

Przyniesiono mi zaraz korę i przyrządzono napój. Poczulem się natychmiast lepiej po wypiciu pierwszej porcji wywaru. Piłem później matę z dodatkiem kory i życie mi wracało.

Na czwarty dzień z rana wstałem i przeszedłem się po ranszy, później wyszedłem na dwór. Odtąd odzyskiwałem szybko siły, a po tygodniu mogłem już dosięść moją madrinę (klacz przewodnią) i poprowadzić tropę jak dawniej.

Wiedź o moim cudownym ocaleniu rozniosła się lotem błyskawicy po wszystkich sąsiednich obozach. Za moim przykładem chorzy zaczęli stosować wywar z kory kabreuwy i wszyscy wyzdrowieli.

Myszę, że są dusze w zaświecie, które poruszone współczuciem dla cierpiących schodzą na ziemię i wskazują chorzy środki na zwalczenie ich choroby. Co do mnie wierzę w to święcie, przyjaciele.

P I N I O R

danie z uszanowaniem kocie mięso jest bowiem najdroższe, i podobno najsmaczniejsze. Jeżeli nie wierzysz — spróbuj.

* * *

Samuelzinho ma dopiero 11 lat, ale już bardzo bogatą przeszłość kryminalną. Do niedawna był powiernikiem i prawą ręką bandyty znanego pod pseudonimem Flavinho (Flavio Expedito da Silva, lat 20), który ma na sumieniu dwa morderstwa i 15 napadów rabunkowych.

Samuelzinho, blondynek o niebieskich oczach, współpracował z Flavinho jako czujka. Kiedy bandyta zakradał się do jakiegoś domu Samuelzinho stał na czatach. On też dostarczał swemu dorosłemu przyjacielowi do jego kryjówki amunicję, broń, pieniądze i żywność.

CICERO MA OSIEM ŻON

Reporter "Folha de S. Paulo", José Almir, który odwiedził ostatnio nową szosę prowadzącą z Belem do Brasiлии, powiada, że już dziś wyczuwa się ogromne zmiany w obyczajach i sposobie życia mieszkańców sertonu, przez który przebiega szosa.

W sklepach i oberżach spotyka się wszędzie lodówki naftowe. Na całej przestrzeni od Belem do Brasiлии można dzięki temu dostać piwo z lodu. Obok cukierków i papierosów leżą w witrynie pigułki przeciw malarii. Choroba ta jest tu tak nagminna, że w każdym barze nabyć można środek przeciwmalaryczny.

W miastach zbudowanych bezplanowo zaledwie trzy lata temu brak jeszcze wielu urzędów. Między innymi nie ma aresztów. Jest natomiast policja: komisarz, przeważnie sierżant albo kapral i dwóch albo trzech szeregowych policjantów. Kiedy zostanie schwytany jakiś przestępca i trzeba go przymknąć przywiązuje się go po prostu do drzewa. Tkwi tak, przymocowany za ręce i nogi, do czasu, gdy z sąsiedniego miasta, gdzie istnieje więzienie, przyślą po niego strażników.

Niekiedy, aby unikać wielodniowego przytrzymywania więźniów na placu publicznym, przywiązanych do drzewa, komisarze zajmują jakiś opuszczony dom i urządzają w nim więzienie. Nieszczęsny przestępca nie jest tam przynajmniej narażony na drwiny ze strony dorosłych i wrzaskliwe żarciki dzieci.

Tak też właśnie dzieje się w Araguaina, gdzie areszt mieści się w nawpół porzucenym starym domu. Przymknięto tam niedawno Cicero Gomesa de Carvalho, mulata w wieku lat czterdziestu i kilku, największego galanta w Goias. Ów to Cicero, korzystając z daru wymowy i talii kart, którą użytkował dla pokazywania sztuk, stworzył sobie w swojej posiadłości ziemskiej harem składający się z ośmiu kobiet. Poza uprawianiem z nimi miłości wykorzystywał kobietki do plantowania ryżu i wdrażając je do łopaty miał zawsze piękne zbiory. W końcu mało mu było ośmiu bab i zdobywał właśnie dziewiątą "towarzyszkę życia", gdy powinęła mu się noga. Dziewiątą była bowiem szwagierką żołnierza Franciszka Pereira Melchiora z garnizonu w Araguaina, i miała zaledwie 10 lat. Cicero uprowadził ją potajemnie i zawiózł do

Przez dwa dni Samuelzinho siedział w areszcie policyjnym, ale chociaż stosowano różne podstępny niczego nie chciał wyznać. Powtarzał tylko, że Flavinho jest zdrajcą i niewdzięcznikiem i że nigdy nie przypuszczał, aby mógł go zadunucjować.

Chłopak przeżywa swoje pierwsze, poważne rozczarowanie.

* * *

Mieszkaniec interioru Brazylii nie korzysta z usług służby meteorologicznej, a mimo to doskonale się orientuje w zmianach pogody.

Wie np., że będzie padać deszcz, gdy sara-kura śpiewa na brzegach rzeki, gdy wąż syczy przenikliwie w zaroślach, komary zbijają się w obłoki, uru śpiewa bez przerwy w głębi lasu, a anu i tukany skrzeczą bez ustanku, gdy bolą kości, a zwłaszcza, piękną odciski, gdy ureszcie księżyc pojawia się w "czepku": "Koto świetne daleko — deszcz blisko, koto świetne blisko — deszcz daleko".

REPORTER

swego domu, ale czyhała tam już na niego policja.

Sinobrody został aresztowany. Przebył w areszcie dobę i nazajutrz w południe — była to sobota — wyłamał kłamkę w drzwiach swojej celi, przespacerował się po ulicach miasteczka i dał nura do lasu. A przestępca, który ukrył się w lesie, uważany jest przez policję za człowieka wolnego. Szukać go tam to to samo co igły w stogu siana.

Dzieje tego Cicero stanowią banalny przykład obyczajów panujących w tych okolicach kraju. Bieda ogólna, brak pracy, niewielkie możliwości ekonomiczne — co zresztą dzięki zbudowaniu szosy zmienia się obecnie gwałtownie — sprawiają, że rodzice starają się wydawać jak najszybciej "za mąż" swoje córki. Małżeństwa nie zawiera się tam zresztą w urzędzie stanu cywilnego. Wystarczy, że trafia się mężczyzna, który "chce" dziewczynę. A ponieważ konkurencja jest duża rodzice nie mają wielkich możliwości wyboru i w końcu oddają dziewczynę człowiekowi, którego wcale nie znają, jak to miało miejsce z "żonami" Cicero. Wszystkie jego kobiety zostały mu powierzone przez rodziców.

Komisarz z Araguaina powiada, że uwodzone są najczęściej dziewczęta w wieku od 12 do 14 lat. I gdyby się pociągało do odpowiedzialności karnej wszystkich winnych mało byłoby takich w miasteczku, którzyby nie trafili do kozy.

Znajomość anatomii ciała ludzkiego i brak wstydlivosti przyczyniają się również do tego, że dziewczęta stają się przedwcześnie kobietami. Upały są wielkie i ludzie kąpią się w rzecie w miejscach przeznaczonych "dla mężczyzn" i "dla kobiet". Ale miejsca te położone są w pobliżu siebie, a ponieważ używanie kostiumów kąpielowych nie jest specjalnie wymagane kąpiele zamieniają się w sceny prawdziwego "raju ziemskiego".

Szosa z Belem do Brasiлии umożliwia nie tylko zapoznanie się z prymitywnymi obyczajami ludności. Zetknięcie ze światem zewnętrznym powoduje przenikanie do tych regionów typowych przestępstw związanych z chęcią zysku. Motorem jest tu pieniądź. Jak np., gdy chodzi o kupca wołów João Gago.

Gago znany był z tego, że miał zawsze przy sobie mnóstwo pieniędzy powierzono

Dok. na str. 30



CHOLERNY DZIEŃ

(Fragment z XXV rozdz. niewydanej powieści pt.: "BUKI")

W Stefci Robowski nie znalazł odpowiedniej towarzyszkii. Była cicha, pracowita, wiele czasu poświęcała na odwiedzanie chłopów we wsi, przesiadywała w czworakach z rodzinami fernali, założyła apteczkę i opiekowała się chorymi. Czasem, wieczorami, słyszał jak grała na fortepianie. Zamykał wtedy drzwi od gabinetu. Nie lubił muzyki.

Gdy się kładli do łóżek nie pociągała go ku sobie. Pewnej nocy poskarżyła się, że jest za brutalny. Zraziło go to do reszty. Po tym wypadku przeniósł się do osobnego pokoju.

— Jakże można ją porównywać do Moniki! — myślał ze złością. — Kłoc, pierzyna, kawał lodu. Tamta żywe srebro, płomień!...

Pierwsze poważniejsze nieporozumienie z żoną nastąpiło z powodu stangreta Mateusza.

Jechali po południu do Szczerkowa na zebranie Związku Ziemiaków, na którym miał wygłosić swój drugi referat. Poprzedni nie zrobił spodziewanego wrażenia, ale ten, wedle zdania Artura Wychnowskiego, miał być wspaniały.

Deszcz lał jak z cebra. Robowski siedział w zakrytym powozie. Mateusza na koźle zlewały potoki ulewy.

— Jedź wyciągniętego klusa! — krzyknął do stangreta.

— Droga śliska, panie dziedzicu, i wyboje! — odrzekł Mateusz.

— Jedź jak ci każę! Batem po koniach, bo się spóźnimy!

Porywisty wiatr zerwał Mateuszowi granatowy kaszket z głowy. Starając się go uchwycić wypuścił z rąk lejce. Powóz nagle skręcił i wywalił się do rowu. Teczka z referatem utonęła w błocie.

W Szczerkowie Robowski był zmuszony pożyczyc ubranie od syna aptekarza.

— Wyglądam jak błazen! — pieniał się w myśli, wchodząc na salę zebrania.

Nie będąc w stanie przeczytać zamazanych liter starał się mówić z pamięci. Gubił się, jękał, powtarzał po kilkakroć wypowiedziane poprzednio zdania. Dostrzegł skupioną poważnie twarz Wychnowskiego i uśmiechających się ironicznie jego sąsiadów. Kiedy kilku słuchaczy wyszło z sali zrozumiał, że i tym razem przegrał. Zapowiadany przez szwagra sukces stał się beznadziejną kompromitacją.

W drodze powrotnej dusiła go furia. Kazał stangretowi zjechać przed rządówkę i polecił Pliszce wydalić natychmiast Mateusza.

Usłyszawszy o tym Stefcią udała się do czworaków. Niosła ze sobą koszyk wypełniony prowiantami.

— Ile lat Mateusz spędził w Bukach? — zapytała.

— Służyłem u ojca pana Anzelma, potem przez cały czas u niego. Będzie coś trzydziści roków z okładem.

— Nie mam wiele własnych pieniędzy — podała mu sto złotych. Proszę to przyjąć na drogę.

Mateusz pochylił się i pocałował ją w rękę.

— Biedny to ja jestem — wyrzekł — ale coś mi się widzi, że pani dziedziczka biedniejsza.

— Kiedy Mateusz wyjeżdża? — głos jej zadrżał. — Chciałabym jeszcze przynieść coś dla dzieci.

— Jutro o świcie.

— Chyba jak ulewa minie. Na taki czas jechać nie sposób.

— Pan dziedzic kazał, trzeba jechać — westchnął.

Następnego dnia niebo było pokryte ciężkimi chmurami, deszcz padał bez przerwy.

Przy śniadaniu Stefcią zwróciła się do męża:

— Dowiedziałam się, że wyrzuciłeś Mateusza. Chyba mu nie każesz opuszczać domu na taki czas — wskazała zalewane potokami wody szyby.

— Proszę, żebyś się nie wtrącała do nieswoich spraw, — odsunął krzesło, wstając od stołu. — Ten dureń opuści dziś Buki.

— Teraz mu powiem — zdecydowała Stefcią.

Była spokojna. Dawno wiedziała, że ta chwila musi nadejść.

— Zaczekaj, ja nie skończyłam — wyprostowała się, wzięła leżącą na stole torebkę i wyjęła z niej list.

— Chciałam ci o tym poprzednio zakomunikować, ale myślałam, że to nigdy nie będzie potrzebne. Byłeś zawsze zajęty, pragnęłam

uniknąć zaprzętania ci głowy sprawami, które wydawały mi się bez znaczenia. A może rejent Ozarek sam ci o tym doniósł?

— Nic mi nie doniósł.

— List adresowany był do nas obojga — otworzyła kopertę. — Pozwolisz, że go przeczytam?

"Zawiadamiam niniejszym o klauzuli, którą pan Anzelm Konczyc polecił mi dołączyć w odpowiednim czasie do aktu hipotecznego sporządzonego na mocy jego testamentu. Treść jej jest następująca: "W razie małżeństwa Witolda Robowskiego upoważniam reagenta Piotra Ozarka do przeprowadzenia zmiany tytułu własności majątku Buki. Z dniem ślubu majątek ten ma stanowić wspólną własność obojga małżonków. Jego sprzedaż w całości lub w części oraz zmiany administracyjne mogą być dokonywane tylko za zgodą ich obojga".

Uprzejmie komunikuję, że klauzula powyższa została uwidoczniowana w akcie hipotecznym".

Ostatnie słowa wypowiedziała patrząc mu prosto w oczy. Obawa, że nie starczy jej odwagi na przeczytanie listu — minęła.

— Majątek mało mnie obchodzi — mówiła spokojnie dalej. —

Nie znam się na administracji. Ale obchodzą mnie nasi ludzie. Dlatego do Mateusza nie wyjedzie dziś z Buków. Na przyszłość dla uniknięcia nieporozumień proszę, abyś mnie zawiadamiał zanim chcesz kogoś oddalić.

— Bzdura! — trzasnęła drzwiami.

Narzucił płaszcz i poszedł do rządówki.

— Mateusz już wyjechał? — rzucił ku Pliszce.

— Nie, proszę pana. Pani dziedziczka poleciła poczekać z zaprzęgiem do czasu aż się wypogodzi.

— Ona nie ma tu nic do gadania! — wykrzyknął w pasji.

Pliszka nabił sobie powoli fajkę.

— Skoro wydała takie polecenie to musi mieć do tego prawo.

— Łajdak wie wszystko — pomyślał Robowski.

Wieczorem, mimo ulewnego deszczu, pojechał do Grabisk.

Służba Moniki była dobrze wytresowana. Mało kto w okolicy domyślał się prawdy.

Ale byli i tacy.

Pewnego dnia, wcześniej rano, przed rządówką zatrzymała się bryczka leśniczego Marciniaka.

— Witaj Staszku! — Pliszka wprowadził przyjaciela do pokoju. — Widzę po tobie, że masz jakieś kłopoty. Chodź do jadalni, Wikta zaraz poda śniadanie.

Usiedli za stołem.

— Kłopoty to ja mam — czoło Marciniaka pokryło się zmarszczkami. — Przyjechałem podziękować za służbę.

— Hm, — mruknął Pliszka, podsuwając talerz z żurem i ziemniakami. — Na głodno nie będziemy rozmawiali. Chyba jeszcze dzisiaj nic nie jadłeś? — popatrzył na pobladłą twarz Marciniaka. — No, a teraz gadaj — powiedział, gdy skończyli jedzenie i zapalili fajki.

— Jak wiesz, wyrabialiśmy już przeszło 40 proc. lasu, — rozpoczął Marciniak. — Jeśli ci powiem, że ustawa dozwala wyrąb jednej setnej całego obszaru to zrozumiesz co to znaczy. Dzisiaj o świcie przyjechali ludzie tego Wychnowskiego i zaczęli rąbać młody las na Piotrowskich Górach. Kiedy ich zapytałem co robią powiedzieli, że rąbią "na okrągłaki".

— Nie uprzedził cię o tym?

— Nie. Otóż pominąwszy dewastację, która woła o pomstę do Boga, ja nie chcę pójść do więzienia. Jedyna rada — opuścić Buki.

— A masz gdzie się schronić?

— Nie mam. Na razie myślę zamieszkać u szwagra w Szczerkowie. Żal mi tylko psów. Zmarnieją w mieście.

Pliszka podszedł do półki, wziął z niej butelkę i nalał kieliszki.

— Wprawdzie to rano, ale łyk starego miodu nie zaszkodzi. Ponoć w dawnych czasach pito go z dobrym skutkiem przed bitwą. Chodźmy do kancelarii — powstał od stołu kiedy wypróżnili kieliszki.

Zamknawszy drzwi zwrócił się ku przyjacielowi.

— Słuchaj, Staszku, co ci powiem — wyrzekł przyciszonym głosem. — Podziękujemy mu za służbę razem.

— Razem? Dzisiaj? — Marciniak chwycił go za rękę.
— A tak. Razem i dzisiaj. Obaj stąd wyjedziemy. Ale nie jego, kołmi — roześmiał się prawie, że wesoło. — Wyrwałem tutaj do tej chwili — mówił dalej — tylko dlatego, że mi żal okrutnie pani Stefani. Przekonałem się jednak, że nic jej pomóc nie mogę. Może stamtąd gdzie pojedziemy, będzie to łatwiejsze. A pojedziemy, Staszku, niedaleko.

Zapalił wygasłą fajkę.

Marciniak patrzył na niego z otwartymi ustami.

— Jak wiesz — ciągnął Pliszka — w Szczerkowie już za kilka tygodni nastąpi otwarcie odbudowanej spółdzielni rolniczej. Zaproponowano mi objęcie jej kierownictwa. Na Zarzeczku spółdzielnia ma niewielki młyn wodny i tartak. Remont ich — już na ukończeniu. W przewidywaniu tego co się stanie zwróciłem się z prośbą do Zarządu, żeby cię tam umieścić. Zgodzili się z ochotą. Twoje pieski będą miały dużo miejsca do biegania. Sam będę do ciebie jeździł na kaczki — poklepał go po ramieniu.

— Niech ci Matka Boska wynagrodzi! — Marciniak uściśnął mu rękę.

Wolno poszli ku dworowi.

— Pan Pliszka i pan Marciniak — zawiadomił Andrzej siedzącego w gabinecie Robowskiego.

— Wydaje dyspozycje wieczorem — obruszył się. — Cóż to za nowe zwyczaje.

— Mówią, że sprawa pilna, panie dziedzicu.

— Czego chcecie? — rzucił Robowski, kiedy weszli do gabinetu. Pliszka wyjął chustkę i głośno wysiąknął nos.

— Przyszliśmy — przyjrzał się uważnie Robowskiemu — podziękować za służbę.

— Myślicie, że nie dam sobie bez was rady?

Złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta.

— Rąbać las każdy potrafi — powiedział twardo Marciniak.

— Trudniej go sadzić i pielęgnować. Dziś od rana ludzie tego Wychnowskiego wał siekierami dwudziestoletnie sosny.

Robowski zerwał się zza biurka.

— Dla ciebie, Marciniak, nie ma "tego Wychnowskiego"! — wykrzyknął. — Jak o nim mówisz, mów: "pan dziedzic Prawdzic — Wychnowski".

— A kiedy pan do mnie mówi to proszę pamiętać, że jestem panem leśniczym Marciniakiem.

— Ty, chamie! — Robowski zamierzył się na niego.

— Powolutku... — Pliszka chwycił go za ramię i żelaznym uchwytem przykuł do miejsca. — Nie czas jeszcze na lekcje. Ale niedługo to jak pan dziedzic dostanie... — pchnął go na biurko.

— Precz stąd! — zacharczał Robowski.

— Z przyjemnością — odwrócił się od drzwi Pliszka. — Zaległe pensje może nam pan przysłać do burmistrza w Szczerkowie. A o konie dla nas niech się pan nie kłopotuje.

Po południu przed rządcówkę zajęła świeżo odmalowana ciężarówka. Po obu jej bokach widniał napis: "Szczerkowska Spółdzielnia Rolników". Poza kierowcą wysiadł z niej starszy jegomość z sumiastymi wąsami i skierował się do dworu.

Robowski przyjął go w gabinecie, którego nie opuścił od rana. Cekał nerwowo na telefon od Wychnowskiego.

— Czego pan chce? — zapytał nie patrząc na gościa.

— Nazywam się Krajkowski — odpowiedział nowoprzybyły. — Jestem sekretarzem Związku Robotników ze Szczerkowa. Skorzystałem z okazji, że ciężarówka naszej spółdzielni jechała do Buków i zabrałem się nią.

Robowski obrzucił spojrzeniem Krajkowskiego.

— Nie wygląda pan na robotnika rolnego, ani na socjalistę — mruknął. — Niech pan siada — wskazał fotel.

Krajkowski nie skorzystał z zaproszenia.

— Nigdy nie byłem robotnikiem rolnym — odrzekł — byłem sztygarem. Pół życia spędziłem pod ziemią. Obecnie na stare lata powróciłem do stron rodzinnych. Widzi pan ja się urodziłem w Bukach. Mój ojciec tu sadił lasy.

— Przyjechał pan odwiedzić Buki?

— Nie. Przyjechałem w sprawie członków Związku.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej okazałych rozmiarów notes.

— Moich robotników?

— Tak jest, — odpowiedział Krajkowski, przewracając kartki notesu. Wpłynęło od nich kilka skarg.

— Od kogo? Proszę o nazwiska.

— Jeśli nie załatwi pan tych skarg bezzwłocznie dowie się pan o nazwiskach w sądzie. — Krajkowski nie przerwał studiowania kartek notesu. — A tak, to tu... — poprawił okulary. — Otóż zalega pan w wydawaniu ordynarii. Ludzie idą głodni do roboty. Opał wydaje pan poniżej ustalonej normy, innymi słowy pracownicy są oszukiwani na opale. Pomimo protestów rządu, pana Pliszki, kazał pan wyznaczyć pod ziemniaki dla robotników najgorszą i niewynawożoną ziemię. Na koniec jest tu jedna sprawa indywidualna: wydalił pan bezprawnie stangreta Mateusza, który pracował tu przeszło 30 lat. Czy wie pan ile mu się należało po tak długiej wysłudze? Nie dał mu pan ani grosza. Przybyłem, żeby się dowiedzieć

co pan ma zamiar zrobić w tych sprawach. Ewentualnie napiszę umowę polubowną, którą pan podpisze, a ja przedstawię robotnikom do zaakceptowania.

Robowski patrzył na niego z widoczną złością.

— Nic nie zrobię i nic nie podpiszę — odsunął notes, który Krajkowski położył na biurku. — Nikt nie ma się prawa wtrącać do mojej administracji.

— To się dopiero okaże.

Krajkowski schował notes do kieszeni i wyszedł, zamykając ciicho drzwi za sobą.

— Cholerny dzień! Niech tylko otworzymy naszą firmę... Ja im jeszcze pokażę! — chwycił słuchawkę i z wściekłością zaczął kręcić korbkę telefonu.

Wieczorem zawiadomił Stefcię, że jedzie do Klubu Urzędniczego w Szczerkowie na brydża. Powiedział jej, że po ciężkiej pracy musi odpocząć. Rozbierała się w sypialni, kiedy zadzwonił telefon.

Mówiła Warszawa. Ucieszyła się poznawszy głos Szymka Perkowskiego.

Zawiadamiał, że powrócił z Francji, gdzie przebywał w ciągu ostatnich lat jako zastępca attaché lotniczego przy ambasadzie polskiej i że nareszcie otrzymał urlop. Zapytywał, czy może przejechać z wizytą do Buków i zabrać ze sobą dawnego dowódcę szwadronu, który także przebywa na urlopie.

— Jakże się cieszę! — wykrzyknęła. — Mamy tu w Bukach sześć pokojów gościnnych, które już zapomniały jak goście wyglądają.

Bezpośrednio po tej rozmowie połączyła się z Klubem Urzędniczym, pragnąc się podzielić z mężem wiadomością o zapowiadzanym przyjeździe jego przyjaciela.

— Pana Robowskiego nie było dzisiaj w klubie — odpowiedział nieznany głos. — Znajdzie go pani napewno w Grabiskach u "wesołej wdówki".

Usłyszała stłumiony śmiech.

— Mam dobrą wiadomość — powiedziała następnego dnia, wchodząc do jadalni.

— Zawsze masz dobre wiadomości przy śniadaniu — popatrzał na nią spod oka.

— Szymek Perkowski przyjeżdża do Buków.

— Też sobie wybrał czas! Jestem zajęty. Nie będę mógł go bawić.

— Nie obawiaj się. Razem z nim zjawi się jego dawny dowódca szwadronu. Będę im towarzyszyła. W ciągu dnia możemy polować na kuropatwy, a wieczorem nie sprawi ci napewno kłopotu zabierać ich — przerwała, unosząc do ust filiżankę — do... Klubu Urzędniczego na brydża.

Uśmiechnęła się, składając serwetkę.

Patrzył na nią kiedy wychodziła z pokoju.

— Psia krew! — zaklął. — Jeszcze tego brakuje, żeby się domyśliła.



W sercu Szwajcarii Kaszubskiej nad jeziorem Ostrzyckim.

Julian Tuwim

"21-IV-1953.

Szanowny Panie,

Najuprzejmiej dziękuję za miłą pamięć. Uwagi Pańskie o "Płaszczu" są i dziś (po 19 latach!) słuszne. Zawsze zdawałem sobie sprawę z błędów tej przeróbki i z wadliwości całej sztuki — w porównaniu ze wstrząsającym pierwowzorem. Namawiano mnie ostatnio, żebym tę sztukę na nowo napisał, ale nie uległem namowom (choć mnie to, przyznam się, korci).

Pocztówkę z moją podobizną pokazałem córce... Nie chce wierzyć, że to ja... I mnie samemu też się wierzyć nie chce... Eheu, fugaces etc.

Łączę pozdrowienia
JULIAN TUWIM

W dniu 4 kwietnia 1934 r. "Nowa Komedja" w Warszawie wystawiła pierwszą sztukę Tuwima według opowiadania M. Gogola "Szyniel". Sztuka szła bitych 28 razy. Magnesem, oprócz samego autora, było parę nazwisk obsady. W roli Akakija Basmaczyna — Jaracz. Czy można sobie wyobrazić wspaniałego historyka o roli zahukanego, zbiedzzonego, nieszczęsnego urzędnicy? Jaracz był wspaniały, boski, jedyny. A już osobliwie w rozmowie z krawcem i w scenie, kiedy przypadkowo nachodzi Gromotrubowa, kiedy tamten igrając ze swą kochanką, naśladuje pieska i łązi na czworakach. Dziś, po trzydziestu bez mała latach sceny te jak żywe stoją w pamięci. Gromotrubowa grała Tadzio Frenkiel. Miły Boże, nie łatwo być synem wielkiego człowieka. Pewno, że co Tadzio, to nie król sceny, Mieczysław. Ale Tadzio miał swój talent własny. Jako smarkacz machnął zręczną sztukę pt. "Grzech Napoleona". Obsadzona była niefortunnie, stąd krzywiono się po trosze na jego grę. Ale tutaj, jako Gromotrubow, okazał się bez zarzutu. Napawał obłędnym strachem maluczkich i śmieszył jako dostojnik w pieleszach domowych.

Wtedy właśnie napisałem w jednym z pism recenzję z "Płaszcza" i dałem jej tytuł "Debiut dramatyczny Juliana Tuwima". Po wielu latach, kiedyś ją w szpargałach, odnalazł, razem z zachowaną jakąś fotografią Tuwima, posłałem mu w podarunku do Anina. Ten list właśnie to odpowiedź i podziękowanie. Bo skoro poeta wszystko w Warszawie utracił, to nawet drobniak taki najuprzejmiej ocenił potrafił.

Tych wizyt złożyło mi się parę. Pierwsza bojaż jeszcze w przedwojennym mieszkaniu na Mazowieckiej. Ani rusz nie pamiętam dziś o czym tam się rajcowało. Tyle, że towarzyszył nam jego ulubieniec, kudłaty Dżoncio. Nawet sfotografowano go kiedyś razem z panem i ten fotomontaż ukazał się w "Naokoło Świata" pt. "Dżoncio i jego ojciec". Tyle tylko pamiętam, że gadało się o jego manii kolekcjonerskiej. Czegoż ten człowiek nie zbierał i gdzie to potrafił gromadzić! Curiosa, dziwolągi, senniki, płody grafomanów, ba! nawet manuskrypty i druki stukniętych na umyśle, czyli pospolitych wariatów.

No, naturalnie, Tuwima widywało się w Ziemiańskiej "na górze", czasami od wielkiego dzwonu w Adrii, bo lubił jednak gwar i towarzystwo. Potem już dłuższa u niego wizyta na Wiejskiej, zaraz po przyjeździe do kraju. Tylko kaducznie przeskadzał nam telefon. To znów zjawia się stara, przedwojenna gosposia Tuwimów. Okrzyki, uściski, całusy. Na podłodze załośnie rozwalone jakieś zbutwiałe walizy, jakie zapleśniałe druki. To jedyny skarb odzyskany, odkopany gdzieś na podwórku rozwalonego domu. Wynikł z tej wizyty felieton, który odczytano przez polskie radio, a na koniec włączyła się do naszej rozmowy głos pana Tadeusza Bocheńskiego.

A po raz już ostatni na jakiejś popijawie u Jerzego Zaruby. Było parę miłych twarzy, ładne panny, sławne zarubowskie zakąski.

— Wiecie co — powiada pan Jerzy — Dobrze będzie rozruszać trochę Tuwima.

I wziął słuchawkę do ręki. Jak te jego z Tuwimem rozmówki wyglądały, sam Zaruba w swoim "Pamiętniku bywalca" najlepszą daje próbkę.

— Szanowanie dla pana dziedzica, mówi Mosiek. Niech pan dziedzic na momencik wpadnie.

— A co tam Mosiek ma?

— Dżin holenderski i blondynki i nawet jedna brunetka. Świeżo skończyła klasztor.

— Wiele? — słychać groźny głos Tuwima.

— Do wójtka nie pójdziemy...

No i zaraz się zjawił. Wypił kieliszek czy dwa, ale go wzięły w obrotu panienki. Otoczyły go wianuszkami, jedna przez drugą recytują jego wiersze. Tuwim był ożywiony, sypał dociepami, śmiał się do rozpuku. Ale wyglądał już jakoś nietęgo. Wychudły, blade bardzo, no i siwy kompletnie.

Posiedział z nami kilka godzin, aż się poczuł zmęczony,

JADWIGA SMOSARSKA W NAŁĘCZOWIE

Znakomita przedwojenna polska artystka filmowa i teatralna Jadwiga Smosarska od wielu lat — jak wiadomo — przebywa w Stanach Zjednoczonych. Przez jedenaście lat mieszkała w New Jorku, ostatnio w jednej z miejscowości wiejskich stanu Connecticut. Artystka nie zerwała więzów z rodzinnym krajem, odwiedza Polskę, poprzednio była przed dwoma laty, w tym roku ponowiła odwiedzin.

Panią Jadwigę Smosarską spotkaliśmy w Nałęczowie gdzie przebywa na odpoczynku.

— Uroczu tu jest w Nałęczowie. Klimat, atmosfera tutejsza działa kojąco. I pamiątki po Bolesławie Prusie, po Stefanie Żeromskim, których tradycja jest tutaj tak żywa. Duże wrażenie wywarł na mnie "domek Żeromskiego". Moją lekturą tutaj są przede wszystkim rzeczy dotyczące życia i twórczości Bolesława Prusa. Tymi alejkami obaj się przechadzali. Prus już mistrz pióra, ocenił pierwszy talent Żeromskiego, jeszcze wówczas młodego adepta.

Pytamy panią Jadwigę o teatr amerykański.

— Jest znakomity. Wiele talentów. Do jego tradycji należą pozycje tak wyjątkowe, jak rodzina aktorska Barrymore, już niestety wygasła. Do tych tradycji zalicza się postać naszej znakomitej rodaczki Modrzejewskiej. Publiczność amerykańska ma zresztą możność zaznajamiania się z najwybitniejszymi kreacjami teatru europejskiego; pozycje znane tutaj nie są obce Amerykanom. Nie tak dawno wystawiano tam "Trzy siostry" i "Wujaszka Wanię", jak również "Matkę Courage" Brechta. Na "Matkę" nie poszłam, miałam bowiem w pamięci znakomitą, warszawską kreację Eichlerówny i zawsze już chcę wiązać wrażenie sztuki Brechta z kreacją polskiej aktorki.

— A sztuki polskie?

— Polscy aktorzy organizują niekiedy przedstawienia sztuk polskich odwiedzane przede wszystkim przez tamtejszą Polonię. Ostatnio na przykład wystawiono "Jak wam się podoba" Fredry. Ogromnym powodzeniem wśród Amerykanów bez różnicy pochodzenia cieszyły się występy polskich zespołów z kraju "Mazowsza" i "Śląska", a wrażenie chłopięcego chóru Stuligrosza z Poznania jest wręcz niezapomniane. Zarówno poziom artystyczny wykonania jak i pełne uroku i naturalności zachowanie się chłopców na scenie wywołało entuzjazm publiczności. W New Jorku setki osób odeszło od kasy bez biletów. Sądzę, że polski teatr dramatyczny mógł by liczyć na powodzenie w Ameryce, gdyby częściej tam się pojawiał.

— Opiera to Pani...

— Opieram to mniemanie zarówno na własnych spostrzeżeniach poczynionych tu w kraju jak i na recenzjach korespondentów zagranicznych z Polski, które stale śledzę. Dzisiejszy teatr polski jest całkowicie na poziomie światowym.

— A współczesny film polski?

— To samo można powiedzieć o filmie. Od czasów przedwojennych film polski poczynił olbrzymie postępy zarówno techniczne jak i reżyserskie i artystyczne. Nie znaczy to, żebym krytykowała polski film przedwojenny, z którym wiąże mnie osobiste przeżycia. Gra aktorska, a nieraz i opracowanie reżyserskie bywały na bardzo wysokim poziomie. W Stanach Zjednoczonych szła "Barbara Radziwiłłówna" i trzeba powiedzieć, że ten film historyczny wykona-

Dok. na str. 23

więc jakoś tak dyskretnie, po angielsku się ulotnił, do domu mając parę tylko kroków.

Teraz, kiedy się przegląda bibliografię całej jego twórczości wierzyć się wprost nie chce, jak bogata, wszechstronna i pracowita była ta twórczość poety.

Na parę lat przed wojną ktoś wpadł na pomysł, napisania scenariusza filmowego z jego "Piotra Plaksina" i szkic tego scenariusza wydrukowało wtedy czasopismo "Film" w opracowaniu Henryka Richtera. Sceny pierwsze to plenery: panorama przez druty telegraficzne na monotonne obłoki. Zachód słońca. Panorama po wierzchołkach drzew osłoniętych obłokami. Panorama po dalekich jednostajnych polach. Krajobraz pokryty śniegiem. Ściemnia się. W scenie drugiej — pokój telegrafisty. Zdjęcie boczne: przez Plaksina na okno. Wieczór. Zbliżenie twarzy. Plaksin nieruchomo patrzy w okno z wyrazem tęsknoty. Zbliżenie szyby, po której spływa topniejący śnieg. Przenikanie. Itd.

Rzeczywiście, temat dla filmu pyszny. Taki tuwimowski egzystencjalizm. Macie tu wszystko: i piekielną nudę letargicznego miasteczka i nieszczęśliwą miłość i tragedię biednego telegrafisty, który nie umiał grać na klawierze.

EUGENIUSZ SZERMENTOWSKI

MOWA POLSKA I KRAWCY ANDERSENA

(Dalszy ciąg z nr. 30)

Początek wpływu Zachodu na kulturę starożytną Polski

Stało się to w r. 966 w dniu przyjęcia przez Polskę wiary chrześcijańskiej. Razem z całym Zachodem poszła Polska drogą wskazaną przez kulturę grecko-rzymską.

I oto dziś zarówno literatura nasza, jak i muzyka nie jest jakimś skromnym Kopciuszkiem, który tylko od czasu do czasu pokazuje swoje istotne wartości.

Zanim jednak przystąpimy do omawiania wpływu kultury grecko-rzymskiej na Polskę warto określić znaczenie i treść wyrazu: "kultura". Słowo to posiada tyle różnokierunkowych znaczeń, że bez takiego określenia łatwo przy dalszych rozważaniach zejść myślowo z raz obranej drogi. Mówimy przecież o kulturze rolnej, kulturze mikroorganizmów dla celów badawczych, stanie kultury duchowej lub fizycznej danego narodu; nazywamy sposób zachowania się niektórych ludzi kulturalnym lub niekulturalnym itp.

Źródłostów rzeczownika "kultura" tkwi w czasowniku kultywować, który możemy zastąpić polskim wyrazem uprawiać. Jeżeli więc mówimy o kulturze określonego narodu, społeczeństwa, lub człowieka — myślimy nie o uprawie roli, ani o hodowli mikroorganizmów, lecz o stopniu rozwoju duchowych cech tego narodu, człowieka lub społeczeństwa w dodatnim pojęciu samej treści tego słowa. Jeżeli zachodzi brak rozwoju w zaznaczonym powyżej sensie lub nastąpiła degeneracja cech duchowych mówimy o niedostatku kultury lub jej upadku.

Inaczej mówiąc kultura, o którą w danym wypadku chodzi jest sumą bezinteresownych, duchowych zainteresowań. Tej interpretacji będziemy się trzymali w dalszym ciągu naszych rozważań.

Kultura starożytnej Grecji

Zasadniczą treścią kultury starożytnej Grecji było postawienie człowieka na możliwie wysokim piedestale jak najbliższej siedziska bogów, Olimpu. Wykładnikiem stopnia potęgi tej wysokości jest ogólnie znane określenie: "kalokagatėja" tj. piękny i szlachetny.

Piękno przeplata się tu i łączy nierozdzielnie ze szlachetnością. Powszechnie używane słowo: "kalokagatėja" jest tej łączności całkowicie uzasadnioną wykładnią. Widzimy "kalokagatėja" we wszystkich sprawach życiowych starożytnej Hellady, w nauce i w sztuce, w zwykłych sprawach codziennych i w ustroju socjalnym społeczeństwa.

Głównym tematem naszych rozważań jest twórczość literacka nie możemy jednak pominąć innych dziedzin, o które zahaczały zainteresowania ludzkie, pozostające pod opieką muz.

Dok. ze str. 22

ny przed wojną wcale się nie zestarzał i był przyjmowany przez publiczność amerykańską z zainteresowaniem. Zresztą byłam na seansie "Barbary" również i w warszawskim "Iluzjonie" (kino w Warszawie, w którym wyświetla się dawne filmy). Dzisiejsza młodzież warszawska ze wzruszeniem przeżywała dramat miłosny królowej Barbary...

— Barbara Radziwiłłówna — to przecież pani kreacja tytułowa...

— Mam wiele wspomnień z pracy nad tym filmem. Moim zdaniem świetnie był opracowany przez Lejtesa. I cóż za dekoracje, kostiumy. Nagrywaliśmy wszystkiego trzy miesiące. Dwie, trzy próby i przed obiektyw. W dodatku, miałam fatalny wypadek, stłukłam sobie kolano, tak że na pracę pozostało wszystkiego dwa i pół miesiąca. A trzeba dodać, że warunki techniczne były wówczas ciężkie. Jeden tylko mikrofon, trzeba było stosować do tego sytuację sceniczną. Aparatura dźwiękowa nie chwytała wszystkich tonacji, obiektyw często "obcinał" obraz. Zdarzało się nieraz, że wprost z teatru nocą jechałem do studio na ulicę Okopową i że pracowałem niemal nieprzerwanie przez 48 godzin — na deskach scenicznych i przed jupiterami.

— Jak długo jeszcze zatrzyma się Pani w Nałęczowie?

— Jestem tu trzy tygodnie i mój pobyt dobiega końca. Chciałabym żeby trwał jak najdłużej, mam tutaj bowiem towarzystwo, o jakim tylko mogłam marzyć, towarzystwo pani Mieczysławy Ćwiklińskiej, mojej mistrzyni i najlepszej przyjaciółki. Odwiedzają mnie inne również koleżanki, obecnie towarzyszy nam pani Gella, przed wojną aktorka warszawska, obecnie krakowska.

— I kiedy odwiedzi nas Pani znowu?

— Słyszałam, że ma być uruchomiona bezpośrednia linia samolotowa New York — Warszawa. Bardzo nie lubię podróży samolotem. Ale do Warszawy — skuszę się na pewno.

MAREK SADZEWICZ

A więc przede wszystkim rzeźba, w której Grecy osiągnęli najwyższy do dziś dnia przez nikogo nie osiągnięty poziom. Sądzę, że zasadniczą przyczyną tego poziomu było wprowadzenie i wydatnienie w rzeźbie intelektu człowieka. Grecki profil o równym i wysokim czole, siedlisku rozumu i inteligencji, spokój w rysach, jakiego nie ma u człowieka głupiego lub złego, u którego duch nie panuje nad objawami fizjologicznymi ciała; długie i silne, ale nie grube lub patykowate nogi, którym przypaść zaszczyt noszenia ludzkiej głowy i ludzkiego serca, pięknego i szlachetnego.

Koncepcja ta, wydatniona w rzeźbie, wywołała konieczność odpowiedniego ukształtowania ciała ludzkiego przy pomocy ćwiczeń fizycznych. Stały się one obowiązkiem dla całego młodego pokolenia.

Równie wysoko stał u Greków teatr. Aktorzy, grający role w tragediach, wdziewali na nogi koturny. Miał to ich podwyższyć, odrzucając od ziemi i zbliżając do Olimpu.

W mowie podczas wystawiania tragedii obowiązywał patos. Jest to intelektualne podwyższenie jednego z objawów ludzkiej psychiki — uczucia. Uczucie, jak i aktorzy, postawione zostało na koturny. I chociaż w słowniku odpowiednikiem patosu jest wyraz uczucie, my, Polacy, zupełnie słusznie zróżniczkowaliśmy te dwa słowa.

Źródłem, podstawą patetycznego wypowiedziania się aktorów był patos zawarty w treści, w stylu wzruszeniowym samej tragedii.

Dziś uważamy, że w patosie powinien być zachowany umiar, którego skala zależy od jakości tematu utworu.

Patos w literaturze polskiej

Patos w literaturze polskiej jest zjawiskiem powszechnym. Można nawet powiedzieć, że zrół się z naszą literaturą.

Zilustrujmy to na przykładzie "Mazepy" Słowackiego:

Staroscina: Cóż to za dziewczeczka? Ze skrzydeł motyla trzewiczki ma na głowie bez żadnego fiocha?

Zbigniew. To, mości dobrodziejko, jest moja macocha.

Odpowiedź bardzo głęboka. Robi wrażenie, że słowa zawarte w pytaniu stracono w dół, przekreślono i zmasano. Zniknęła dziewczeczka z trzewikami ze skrzydeł motyla i zjawiała się nagle jakaś niesamowita, straszliwa macocha.

Patos aż huczy. Idzie dalej, rozwija się tragedia, pnie się w górę po trupach. Patos narasta, nieśmiertelny patos spowijający utwory nie tylko Słowackiego, ale i Mickiewicza i Krasińskiego, nie kończący się bynajmniej na Wyspiańskim, sięgający naszych dni, najistotniejsza cecha literatury polskiej.

A oto i druga cecha — muzyka.

Muzyka, a mowa Polska

Słowacki jako człowiek i poeta to rozkochany w sobie Narcyz. Jeżeli się nawet w kimś kochał to jakoś preludiowo — nokturnowo, prawie — że nieuchwytnie. Nawet jego wiersze się w nim kochały, jak to sam o sobie mówi:

"Sam się rym do mnie miłośnie nagina,

Oktawa pieści, kocha mnie sekstyna".

Najmniej romansowy ze wszystkich romantyków, jego akordy miłosne nie mają żadnej pedalizacji. Nawet w tragediach miłość i erotyzm schowały się głęboko za kulisy.

Podobno urok jednej i tej samej kobiety, Marii Wodzińskiej, miał wpływ jednocześnie zarówno na twórczość Słowackiego, jak i Chopina. Może stąd pochodzą pewne analogie w ich twórczości, może dlatego, choć obaj mistrzowie czuli do siebie wzajemną niechęć, słysząc w niektórych utworach Słowackiego jak by echa muzyki Chopina.

Taką np. poemę "W Szwajcarii" zaczyna Juliusz Słowacki jak by jakimś szopenowskim preludium: "odkąd zniknęła jak sen jaki złoty..." i kończy podobnie: "Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą..."

Muzyka ma wpływ na poezję polską, poezja na muzykę.

Muzykolodzy nasi genezę poloneza — fantazji opus 61 Chopina wywodzą z Lilli Wenedy Słowackiego.

Charakterystyczne jest twierdzenie George Sand, długoletniej przyjaciółki Chopina, że nasz genialny muzyk był "bardziej polskim, niż sama Polska". Widocznie pierwiastki tkwiące w muzyce szopenowskiej mają swe źródło w mowie polskiej, w pomnikach literatury polskiej.

Przypomnijmy sobie polonezowy rytm kazań Skargi:

"Bych był Jeremiaszem chodziłbych bosy i napoły nagi! Bych był Izajaszem..."

To "bych" toż to późniejsza pedalizacja szopenowskich polonezów.

Idźmy dalej w czasy, kiedy Chopin leżał już w grobie i niech się nam przypomni jego XXI preludium i wiersze Ujejskiego i Tetmajera:

"Leżę na obłoku, roztopiony w ciszę. Mgłę mam senną w oku, oddechu nie słyszę..." (Ujejski) i "Czemu sercu smutno..." (Tetmajer).

Cóż za dziwna nieśmiertelność szopenowskiej melodii! Była kiedy Chopina jeszcze nie było i jest, kiedy go już nie ma.

(D.c.n.)

KAZIMIERZ RUDNUCKI

GARIMPEIRO QUELUZ

WSPOMNIENIE Z GOIÁS

(Dalszy ciąg z nr. 33)

Przed niewykończonym jeszcze budynkiem spółdzielni rozpalano ognisko. W kręgu jego blasków stawiano ławki, stołki i pieńki — po jednej stronie dla mężczyzn, a po drugiej dla kobiet i dzieci. Nie czekaj grajku! Nastrajaj gitarę i podaj takt harmonijce. Młodym spieszo do tańca.

Bywały noce, kiedy fandango i maxixi przeplatały się z przyspiewkami, jak ta epicka znad morza:

“Jangadeiro z Paraiby,
co się wybrał raz na ryby...”

lub inna o dziewczynie z sertonu:

“Kiedy przyszedłem to uciekała.

Gdy odchodziłem lzy w oczach miała”.

Od czasu do czasu pojawiali się wędrowni piosenkarze. Wtedy taniec ustępował turniejowi śpiewaczemu zwanemu “wyzywanką”, podczas którego śpiewacy z Bahii, Pernambuco i Ceará potykali się przy dźwiękach woli, syjąc jak z rękawa dowcipne zwrotki. Poklask dla mistrza wieczoru wystarczył im jako jedyna nagroda.

Owe nocy brakło muzykantów. “Violeiro” (gitarzysta) skaleczył sobie palce prawej ręki na ostrym jak brzytwa ościeniu kryształu, a specjalista od gaity (harmonijki ustnej) udał się onegdaj na odległe Resfriadinho (Zażębionko), skąd nadeszły podniecające słuchy o odkryciu nowych kopalń kryształu. Zawiedli również “repentistas”, czyli improwizatorzy. W spółdzielni był co prawda odbiornik radiowy, przedmiot zazdrości całej okolicy. Cóż, kiedy milczał, gdyż wyczerpała się bateria.

Prezes Casagrande musiał więc sam wypełnić cały program wieczoru opowieścią o wydarzeniach nad Itatingą.

Nie brakło mu swady, ludzie słuchali z zainteresowaniem. Garimpeiro lubi posłuchać wiedząc, że gadki są podobne do przesiewania żwiru z sita na sito. Dzisiejsza nowość pójdzie jutro w kął przed innym pomysłem. I byłoby się skończyło na gawędzie, w której nie wiadomo ile prawdy, a ile baśni, gdyby nie dość nieoczekiwane zakończenie.

— Kumie Tonico, czy to już koniec? — zagadnęła jedna z kobiet.

— Tak. Na dzisiaj dość. Aż ochryplem od gadania.

— Prosimy o ciąg dalszy — poparła pierwszą kobietę inna kuma. — Co się zdarzyło następnie pod wodospadem?

— To już inna historia — odparł niechętnie Casagrande. — Opowiem kiedy indziej.

Niewiasty nie ustępowały.

— Skarb pod wodospadem dał widać tyle jednemu, że pozostałym trzem została już tylko figa.

— Jakim trzem? Dwóm...

— Dwóm powiadacie? A gdzie się podział trzeci?

Do rozmowy wmieszał się koscisty garimpeiro, który nadszedł pod koniec opowiadania. Pracował w jednej z dalszych odkrywek. Nazywano go Wilkołakiem, ponieważ górną wargę miał jak by za krótką i znany był z zaczepnego usposobienia.

— Znam i ja Parane i garimpowałem na rio Tibagi — błysnął złotem sztucznego uzębienia.

— Matias nie ma tu nic do gadania! — rozległy się protesty. — Nie jest członkiem spółdzielni.

Ale chudy garimpeiro nie ustępował. Miał

on żal do zarządu, że odmówiono mu członkostwa z powodu bezżenności. Nadarzała się okazja do odpłaty.

— W stepie nad Itatingą — powiedział — znalezione przed dwoma laty szkielet ludzki objedzony do czysta przez sępy i mrówki. Policja wszczęła dochodzenie. Badano wszystkich dokoła. Śledztwo utknęło na niczym, ale akta sprawy są jeszcze ciągle otwarte.

Casagrande widząc, że wpadł w tarapaty zwrócił się o pomoc w stronę kuchni.

— Leonidas, — zawołał — porzuc — no moździerz i tłuczek, chodź tu i opowiedz co się stało dalej. Brałeś udział w wypadkach na równi ze mną.

Leonidas przysłuchiwał się rozmowie za trzcinową ścianką. Łuskał tam ryż w pilonie, podczas gdy jego żona krzątała się wśród pekatych kotłów nad przygotowaniem obiadu na następny dzień dla kilkudziesięciu osób. Na skutek rozrostu osiedla Leonidas doczekał się awansu. Mianowano go kierownikiem działu spożywczego spółdzielni od czego dawnemu łazikowi od kilofa i łopaty nie przewróciło się bynajmniej w głowie.

— O kim mowa? O Hernando? — spytał, siadając wśród zebranych. — O panie, którego poszukiwał ojciec, bogaty *haciendero* z Cochabamba?

Westchnął.

— Biedaczysko, opętał go zwid bamburra, biegał z miejsca na miejsce poganiany nadzieją powrotu do domu w Andach z kieszką pełną diamentów. Chciał tę kieszkę rzucić tacie na stół, mówiąc: “Policz kto ma więcej forsy — ty, czy ja?” Poniewierał się dla tej mrzonki aż żal było patrzeć. A tu złoty ptak wyfrunął mu spod stopy zanim go zdołał przytrzymać w garści. Wpadł z tego powodu w szal, który przypłacił życiem.

— Nie tak po lebkach! — odezwały się głosy. — Mów po kolei, porządnie co zaszło.

— Zaraz, zaraz, powolutku... Zaczęło się od tego, że wraz z Tonico dostrzegliśmy akurat pierwsze iskiarki w *batei*, kiedy nieznajomy odjeżdżając machnął nam ręką i puścił się w klus. Interesowało nas wtenczas to co mamy na dnie miski, a nie tamto, co poszło z wiatrem. Hernando gotował właśnie wrzątek do szimaronu, bez którego gauszo i kaboklo tracą siłę w kolanach. Na widok oddalającego się jeźdźca w Hernando zbudziły się nerwy zapamiętałego gracza. Zaczął ciskać gromy, że padł ofiarą przybłęd i nas otu. Potem zawołał, że wdzije moje buty i pobiegnie w te pędy na wyrobisko po obcym. Naśmiewacie się z Murzynów, że chodzą boso, a tymczasem w naszej trójce ja byłem ostatni kogo trzymały się jeszcze buty. Były to buciory z cholewami z miękkiej skóry, pomarszczonymi w hamonijkę dla przypodobania się senioritom. Więc moje buciska poszły z Hernandem w krzaki, a my w dwójkę nic tylko przesiewamy i przesiewamy, przesiewamy i przesiewamy. Zając robotą zapomnieliśmy nawet o szimaronie i dopiero po dłuższej chwili zauważyliśmy kątem oka jak owe buty, wygarbowane na braz, wypadły z powrotem z zarośli, aby zniknąć w ranszy, zatrzymać się tam niekrótko niedługo i wypaść na nowo do lasu.

— Przetaniesz ty wreszcie o tych butach? — odezwało się kilka głosów znad ogniska.

Leonidas nie zważał na przymówki i ciągnął spokojnie dalej:

— Do wieczora tyliśmy gotowi z robotą po wyszorowaniu zapadliny do czysta. Czas po-

dażyć za Hernandem! A tam pustka — nikogo, nikogusieńko. Na zrytym żwirowisku leżały narzędzia tak jak je porzucił Hernando, tuż obok — cielska dwóch ubitych gadów. Jeden był posiekany na kawałki, drugi nosił ślady walki, w rozplataną paszczy brakło kła.

Wołaliśmy, szukaliśmy Hernanda. Na próżno. Ponieważ zapadła zmierzch wróciliśmy do ranszy, żeby przyszykować wieczerzę i złożyć w bezpiecznym miejscu dzisiejszy urobek. Niewiele tego było, ot szczypta złotego piasku, może ze sto gramów i ćwierć naparstka diamentów, jak główki od szpilki. Dobre i to! Powiększy się nasz złoty zapas ukryty w zakamarku budy: flaszczyka ze złotym piaskiem i rurka trzcinowa z wcale osobliwym karbonatem. Patrzymy, a tu w miejscu, gdzie skrytka ktoś ruszał ziemię. Otwór ział pustką, łap dym! Tej nocy, wierząc...

... — nie kładliśmy się spać — dodał Antonio.

Nazajutrz z rana zauważyliśmy gromadę sępów zataczających koła nad niedalekim pagórkem. Czego tam chcą ścierwojady? Tknięci złym przecuciem posłaliśmy sprawdzić co się stało. A stało się najgorsze. W szczytinach traw stepowych leżał trup naszego kamrata. Zwłoki były srodze spuchnięte i poczerwiałe. W cholewce prawego buta tkwił kiel grzechotnika. Hernando nie zauważył go potykając się z węzłem. Uciekał z garimpa jak oszalały, nie zdając sobie sprawy, że za towarzysza ma śmierć zaczajoną w ostrej igle, która przy każdym otarciu się o krzak wchodzi głębiej w cholewę, aż dosięgnie łydki.

— Może ja teraz uzupełnię twoje opowiadanie — powiedział Antonio. W worku, który zmarły trzymał w zastygłej dłoni — trzeba mu było ten worek wyszarpywać siłą — oprócz urobku zabranego z ranszy znajdowały się jeszcze trzy bryły złota: dwie wielkości pomarańczy i jedna, nadpęknięta, którą przyrównałbym do małego ananasa. Uszły przed wzrokiem Queluza i moim zdaniem one to zgubiły Hernanda, popychając go na niewłaściwą drogę.

— Złoto ma to do siebie, że budzi złe instynkty w człowieku, wiadomo. Pozostawiliśmy wówczas pod wpływem tych samych niedobrych sił, którym uległ Hernando. Wspomniałeś, Leonidasie, o bezsennej nocy, kiedy zdradzeni przez koleżę, nie znużyliśmy oczu, pełni wzajemnej nieufności...

— Brr, myślałem, że świt już nigdy nie wstanie.

— A później te chwile spędzone przy trupie... Pamiętasz jak jeden nie śmiał się spojrzeć w oczy drugiemu, kiedy dzieliliśmy się spadkiem po nieboszczyku?

— Gdy rozbijaliśmy największą, tę nadpękniętą, bryłę złota palce dygotały nam jak w febrze.

W końcu każdy wziął swoją część i rozstaliśmy się bez słowa pożegnania. W stepie pozostały nieopogrzebane zwłoki, w wąwozie szalas i narzędzia. Lęk rozegnał nas w przeciwnie strony jednego na wschód, drugiego — na zachód.

— No i los kręcił nami tak długo, aż wyznaczył miejsce nowego spotkania. I ufaj tu węchowi garimpeira — roześmiał się Murzyn całą gębą.

(D. c. n.)

PAWEŁ NIKODEM



Przemysł polski w pierwszym półroczu

Wartość produkcji globalnej przemysłu polskiego w I półroczu była, jak donosi "Życie Gospodarcze" wyższa o 3,3%, niż w I półroczu 1962, przy założonym w planie rocznym wzroście o 5 proc. Niższe niż zakładano w planie rocznym tempo wzrostu produkcji tłumaczy się przeważnie trudnymi warunkami tegorocznej zimy, a także np. niekorzystnymi warunkami skupu niektórych surowców rolnych dla przemysłu. W II kwartale, który przyniósł istotną poprawę w realizacji zadań szeregu gałęzi przemysłu (zwłaszcza ciężkiego), nie udało się jednak nadrobić zaległości z I kwartału.

A oto krótkie informacje dotyczące produkcji niektórych ważniejszych wyrobów w I półroczu:

Plan produkcji energii elektrycznej nie został w pełni wykonany (98,9 proc.) na skutek akcji oszczędności energii w przemyśle. Poza tym wysoka awaryjność niektórych urządzeń w nowych elektrowniach spowodowała niepełne wykonanie planu produkcji energii na węglu brunatnym i zwiększenie zużycia węgla kamiennego.

W przemyśle paliw plan produkcji podstawowych wyrobów został wykonany z nadwyżką. Zadania wydobywania węgla wykonano z nadwyżką 147 tys. ton ponad przewidziane 111,5 mln ton; w związku ze zwiększonym zużyciem w okresie zimy konieczne jest jednak wydobyć w skali roku dodatkowego 1 mln ton.

Hutnictwo wykazuje za I półrocze niedobór 8,7 tys. ton rud żelaza (w związku z niedoborami robotników dołowych i pogorszeniem się jakości rudy w szeregu kopalń, 28,4 tys. ton surowki żelaza (gorsza jakość wsadu, awaryjne przestoje, trudności z zapatrzeniem w kamień wapienny), 7,4 tys. ton stali (zimowe przerwy w dostawie energii elektrycznej), niedostateczna jakość złomu i materiałów ogniotrwałych, (awarie trzonów pieców), 4,1 tys. ton wyrobów walcowanych (w związku z niewykonaniem planu produkcji stali). Ograniczone dostawy energii elektrycznej były poza tym główną przyczyną niewykonania planu produkcji cynku i aluminium.

Przemysł maszynowy w I półroczu nie wykonał w pełni planu produkcji takich wyrobów, jak obrabiarki (niedobory robotników w zakładach górnośląskich, opóźnienia dostaw kooperacyjnych), maszyny i narzędzia rolnicze (niedostateczne dostawy odlewów, niedobory spawaczy), traktory dwuosiowe (trudności technologiczne), łożyska toczne (brak odpowiedniej jakości tarcz ściernych, niedostateczne dostawy odkuwek na pierścienie), tabor kolejowy (opóźnienia dostaw), motocykle i rowery (ograniczenie produkcji ze względu na trudności ze zbytem), odbiorniki telewizyjne (trudności technologiczne z "Koralami", niedobór kineskopów 14-calowych), odbiorniki radiowe (braki w dostawach skrzynek, wadliwe wibratory ze spóldzielczości).

Przemysł chemiczny pomimo uzyskania w czerwcu wysokiego wzrostu produkcji — za I półrocze notuje pewne niedobory w produkcji takich wyrobów, jak kwas siarkowy (ograniczenia w I kwartale na skutek trudności transportowych, kłopoty technologiczne), soda kalcynowana i kaustyczna (niedostateczne dostawy kamienia wapiennego, zimowe o-

graniczenia energetyczne), amoniak syntetyczny i nawozy azotowe (trudności technologiczne, liczne awarie zimowe), mydło i proszki do prania (niedostateczne dostawy surowców, opóźnienia inwestycyjne).

Przemysł materiałów budowlanych nie wykonał w pełni planu produkcji cementu (awarie, wstrzymanie produkcji z powodu zimowych trudności transportowych), wapna (awarie pieców szybowych), cegieł i dachówki (brak surowki na skutek niemożliwości eksploatacji w okresie zimowym i przedłużenie się czasu suszenia wyrobów), szkło okienne (przedłużanie remontów i opóźnienia rozruchów).

Przemysł drzewno-papierniczy z nadwyżką wykonał zadania dotyczące produkcji papieru. Natomiast notuje się niepełne wykonanie planu produkcji tarcicy (trudności zimowe, brak wagonów), mebli (opóźnione dostawy, zmiany asortymentowe), płyt pilśniowych (awarie) i wiórowych (trudności technologiczne), celulozy (awarie).



"A MARCHA ECONÔMICA"

JAMIL
NAMI
CURY

— ... E o Brasil fôra dado como que descoberto pelos portugueses comandados pelo navegador Pedro Álvares Cabral.

Os passos dados pelos descobridores, após a famosa carta de Pero Vaz de Caminha, foram os mais arrojados possíveis, com o desbravamento das matas, dos rios, dos montes, e assim, com o bandeirantismo propriamente dito, o que até nossos dias é cantado em rima rica de lirismo e de cores.

O Brasil começou a crescer. Das matas, foram tiradas as madeiras e o solo transformado em plantações férteis, que da época por diante, teriam a si, a responsabilidade de fornecer ao seu beneficiador, o alimento para a sua subsistência.

Mais e mais desbravamentos foram se sucedendo, para dar lugar a mais e mais povoadamentos e vilarejos.

O desbravador começou a existir nos sentidos mais sutis do substantivo, ele era o homem de roupagens grossas de couro e peito de metal polido.

O estrangeiro se fazia notar com suas armas e coragem. Sem subjugar os nativos amedrontados, empurrou-os para mais o interior das matas, fundando assim, suas guaritas avançadas.

Estava nascendo uma nova situação nessa terra então misteriosa.

As batalhas entre os brancos e os selvícolas, davam notícias as mais variadas

W przemyśle lekkim pomyślnie wykonano plan produkcji tkanin bawełnianych (nadwyżka 900 tys. metrów), jedwabnych transporterowych i oponowych. Niedobory w stosunku do planu w takich asortymentach, jak przędza bawełniana (niedostateczne zapotrzenie w importowane surowce i opóźnienia modernizacji w kilku zakładach), przędza wełniana (nieterminowe i niedostateczne dostawy), tkaniny wełniane (zmiany asortymentowe, absencja chorobowa), wyroby dzieciarskie (realizacja zamówień eksportowych), wyroby pończosznicze (opóźnione uruchomienie nowych maszyn z importu).

W przemyśle spożywczym na skutek niepełnej realizacji planu skupu nie zostały wykonane plany produkcji przemysłu mięsnego, jajczarsko-drobiarskiego i mleczarskiego. W związku z tym niższa aniżeli w I półroczu 1962 r. była produkcja mięsa (o 6,3 proc.), masła (o 13 proc.), jaj (o 20 proc.), drobiu (o 7 proc.) i serów dojrzających (o 12 proc.). Natomiast z nadwyżką zrealizowano półroczny plan produkcji tłuszczów roślinnych, margaryny, wina, wyrobów spirytusowych oraz połowów ryb morskich.

e solfejadas de bafos poéticos, em trovadas e cancionetas.

Por outro lado, "nas Europas", os vian-dantes compunham suas canções baseadas nos feitos heroicos e nas mortes dramáticas dos bandeirantes. Os nomes se foram passando em telas e assuntos do dia.

Na nova "propriedade" portuguesa, a notícia era a riqueza natural da nova canaã, o Brasil, então Vera Cruz, Santa Cruz...

Dos povoadamentos, os fortes, destes, as vilas, destas, as cidades e do conjunto destas, as capitais e finalmente esta União grandiosa que responde pelo nome alviçareiro, grandioso, sugestivo, lindo mesmo... BRASIL.

Após um período lascivo de império atrazado e estagnado, tivemos a República tão desrespeitada e menosprezada.

O significado de República, tão pouco divulgado ou compreendido, não condiz com a real exigência expressiva de sua gente.

Brasil... como é rico e ao mesmo tempo pobre este torrão.

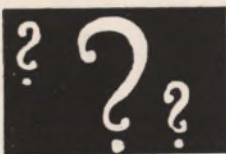
Brasil... como é poderoso e ao mesmo tempo carecido "este continente".

Brasil... como lhe cabe bem os dizeres "o gigante que dorme".

Acordar para a luta, não é a sua necessidade, mas, acordar seus futuros filhos para uma coesão maciça, ao contrário dos emancipados em vida, alheios a quase tudo, ausentes a quase todas as suas possibilidades e capacidades.

Enfim, contrariando as normais previsões, o Brasil cresceu, alargou suas linhas do horizonte em todos os sentidos, em todas as vistas.

Das florestas surgiram cidades industriais, capazes de projetar o nome de



WIEZIENIA OTWARTE W HOLANDII

Codziennie wieczorem tysiące mężczyzn i kobiet opuszcza mury fabryk i udaje się do domu. Jedni wybierają się po kolacji na koncert lub do kina, inni chcą posiedzieć przy telewizorze lub odwiedzić przyjaciół. W tym tłumie są jednak ludzie, nie różniący się zresztą wyglądem od pozostałych, dla których godzina ta jest najtrudniejszą godziną dnia. Nie idą do domu tylko do więzienia. Są to penitencjariusze t. zw. "więzień otwartych".

Institucje te istnieją już od trzech lat w Holandii — jedna w Limburgu, druga w Hoorn. Razem mogą pomieścić około 60 więźniów. Kieruje się tam przestępców skazanych na dłuższe kary, nie mniej niż na 15 miesięcy, średnio jednak na mniej niż trzy lata, chociaż zdarzają się osoby skazane na 15, 20, a nawet na 24 lata pozbawienia wolności. Rodzaje przestępstwa, które sprowadziły ich do więzienia są jak najbardziej rozmaite: kradzież, gwałt, morderstwo... Skład socjalny więźniów jest również rozmaity. Spotyka się pracowników fizycznych, biuralistów, księgowych, sprzedawców, agentów sprzedaży nieruchomości, jest też jeden inżynier, a nawet burmistrz.

O zakwalifikowaniu do więzienia otwartego decyduje dyrektor generalny więzień holenderskich. Jeżeli powie "tak" więzień zastaje pewnego dnia w swojej celi teczkę z przepisami więzień otwartych. Studiując te przepisy przekonuje się, że może pracować zarobkowo u przedsiębiorcy prywatnego poza więzieniem, ale, że z zarobionych pieniędzy otrzyma tygodniowo do ręki tylko pięć florenów na drobne wydatki, że dalej ma prawo noszenia własnego ubrania i własnych butów, uczęszczania w niedzielę do kościoła, pisanie listów na własnym papierze bez cenzury, że wreszcie dwa razy na miesiąc otrzymuje przepustkę na miasto i może tam pójść z kolegami bez żadnej eskorty. Może wychodzić ponadto na spotkanie swoich gości na stację kolejową lub do autobusu i odprowadzać ich tamże po skończonej wizycie. Ale nie wolno mu odwiedzać barów i kawiarni,

pić alkoholu, po pracy ma obowiązek wracać bezpośrednio do więzienia.

Krewni więźnia są proszeni, żeby nie utrudniać mu sytuacji w tym ciężkim okresie półwolności i nie odwiedzać go poza godzinami urzędowymi.

Jeden z internowanych w więzieniu otwartym w Limburgu powiada:

— Pochodzę z Limburga i często czuję się bardzo źle i niezręcznie. Jeżeli spotkam przypadkowo na ulicy swoją narzeczoną nie wolno mi z nią mówić, choćby szła w tym samym co i ja kierunku.

Inny mężczyzna z Hoorn, wychodząc z fabryki w sąsiednim mieście, spotkał swoją piętnastoletnią córkę, która zapoznała go w czarnych kolorach ze sprawami domowymi. Więzień był tym bardzo przejęty i nie mógł spać w nocy. Nazajutrz z rana zamiast pójść do pracy wsiadł do pociągu jadącego do do-

mu. Kiedy jednak przekonał się, że sytuacja w domu nie jest taka zła jak mu przedstawiła córka wrócił do pracy pierwszym pociągiem. Tym razem wszystko skończyło się dobrze, ale w innych przypadkach więźniowie muszą wrócić do swoich dawnych cel w więzieniach zamkniętych za nadużycie zaufania.

Z czasem w więzieniach otwartych wytwarza się duch współdziałania zespołowego, który dopomaga jednostkom w walce z pokusami. Warto tu przytoczyć następujący wypadek: pewien człowiek zauważył, że jeden z jego kolegów więziennych wsiadł na stacji do niewłaściwego pociągu. Zrozumiał od razu, że ten współwięzień ma zamiar przekroczyć przepisy.

— Nie mogłem zezwolić, aby popełnił ten błąd. Jestem również odpowiedzialny za jego postępowanie.

Wsiadł do tego samego pociągu i udało mu się wyperswadować koledze jego nierozważny krok.

HALBO C. KOOL

TAJEMNICA ŚMIERCI NAPOLEONA

Historia powiada, że Napoleon Bonaparte po klęsce pod Waterloo abdykował dn. 18 czerwca 1815 r. Anglicy uwięzili go i zesłali na wyspę św. Heleny, gdzie zmarł 5 maja r. 1821. W r. 1840 zwłoki sprowadzono do Paryża i pochowano w Pałacu Inwalidów.

Ale według najnowszych badań okoliczności śmierci wielkiego cesarza odbiegają od wersji oficjalnej.

W dokumentach wioski Meuse, położonej nad rzeką tejże nazwy we Francji, znajduje się wzmianka, że François Eugene Robeaud, urodzony tamże w r. 1771, zmarł na wyspie św. Heleny. Istnieją przypuszczenia, że zmarł on 5 maja r. 1821 pod imieniem Napoleona Bonaparte.

Warto przy sposobności zaznaczyć, że Napoleon miał czterech sobowtórów i że jednym z nich był właśnie Robeaud. Cesarz mógł się wydostać z zesłania przy pomocy przyjaciół, na jego miejsce postawiono Robeaud.

W r. 1818 żona nowomianowanego komendanta twierdzy na wyspie św. Heleny, francuskiego generała Bertranda, podaje w liście do przyjaciela następującą wiadomość:

"Osiągnęliśmy wielki sukces. Napoleon opuścił wyspę".

W tym samym roku do Werony we Włoszech przybywa kupiec imieniem Revard i zawiera spółkę z miejscowym handlarzem diamentów niejakim Petrucim.

Ze względu na ogromne podobieństwo Revarda do Napoleona Petrucci nazywał go żartobliwie Bonapartem. Zgodnie z późniejszymi zeznaniami, złożonymi pod przysięgą, Petrucci oświadczył, że w sierpniu r. 1823 Revard otrzymał zapieczętowany list i że po przeczytaniu tego listu był bardzo zmartwiony, mówiąc, że musi natychmiast wyjechać. Wręczył przy tym Petrucciemu zapieczętowany list i prosił, aby w wypadku, gdy nie wróci w ciągu trzech miesięcy doręczył ten list królowi Francji.

W 12 dni później o godz. 11 w nocy dn. 4 września 1823 r. na Zamku w Schoenbrunn w Austrii, pod Wiedniem, gdzie leżał ciężko chory syn Napoleona, ks. Reichstadt, służba zamkowa zabiła strzałem w brzuch podkradającego się do Zamku mężczyznę.

Ambasada francuska zajęła się sprawą wykrycia indyferencji zabitego, a następnie na prośbę żony Napoleona zwłoki nieznanego zostały pochowane w grobie rodzinnym cesarzy austriackich.

Revard po opuszczeniu Werony nigdy do niej nie powrócił. Petrucci, jak przyrzekł, dostarczył zapieczętowany list królowi francuskiemu, który go sowicie wynagrodził za dobrą służbę i utrzymanie tajemnicy.

W międzyczasie na wyspie św. Heleny zmarł więzień zwany Napoleonem Bonaparte, człowiek, który nie pisał jak Napoleon i nie mówił jak Napoleon.

JAN BIELEC, Los Angeles

BEZDENNA OTCHŁAŃ...

Na jednej z wysp greckich istnieje przybrzeżna grota podwodna, do której uchodzi w ciągu doby około 60 tysięcy ton wody z Morza Jońskiego. Zjawisko to znane było już od niepamiętnych czasów, ale dotychczas nikt nie wie, co się dzieje z wodą, która wpływa do groty.

Zagadkę postanowił niedawno rozwiązać pewien specjalista amerykański, który w pobliżu groty wylał w morze duże ilości barwnika, rozstawiając wielu obserwatorów wzdłuż całego półwyspu wyspy. Nigdzie jednak nie zauważono zabarwionej wody.

Kilka tygodni temu do groty wpuszczono 150 kg małych kulek kolorowych z masy plastycznej, ale one także znikły bez śladu. Zagadka pozostaje nadal nie rozwiązana. (mar)



Dzieci holenderskie w kostiumach narodo wych.

Czy kryzys diamentowy w Brazylii?

Kryzys diamentowy, który ostatnio przeżywa świat, nie dotknął na razie przemysłu diamentowego w Brazylii.

W sierpniu br. znaleziono w okolicy Cuiabá w Mato Grosso 227-kilatowy diament. Znalazł go pasący bydło kilkonastoletni chłopiec. W kilka dni potem diament został sprzedany w Rio de Janeiro przez ojca chłopca za kwotę 6 milionów kruczejów tj. ok. 60 tys. dolarów, aby powędrować stamtąd w świat drogą kontrabandy, prawdopodobnie do Stanów Zjednoczonych dokąd przedostaje się nielegalnie około 90 proc. diamentów z Brazylii wartości ok. 2.457.000 dol. według statystyki brazylijskiej i ok. 24.657.000 dol. według statystyki amerykańskiej.

Diament znaleziony ostatnio w Cuiabá znajduje się co do wielkości dopiero na dzie-

wiątym miejscu. Diamenty brazylijskie, pochodzące przeważnie ze stanu Paraíba, można uszeregować w następującej kolejności: Getúlio Vargas — 720 kilatów, Darci Vargas — 460, Coromandel — 400, Tiros — 350, Patos — 320 Estrela do Sul — 254, Carmo — 245, Abaete — 238.

Najbogatszym znanym terenem diamentowym, skupiającym też największe garimpy poszukiwaczy jest jeszcze ciągle obszar zlewisk rzeki Xingu i dopływów prawego brzegu rio das Mortes, ogromne tereny stanów Pará, Mato Grosso i Goiás, znane i z tego, że zginął tam pułk. Fawcett, a po nim szeregi uczonych i awanturników. Oblicza się, że w okresie od r. 1727 do 1945 znaleziono i wywieziono z tych terenów ok. 10 ton. diamentów.

No continente norte americano, mil homens desempenham seu trabalho para quarenta ou trinta (dependendo da região) outros semelhantes inativos.

Na América do Sul, com bastante admiração, poderemos constatar que mil homens trabalham para outros mil inativos em determinados pontos e locais, notadamente no nordeste brasileiro e nas regiões centrais do Paraguai e Bolívia.

As razões deste fenômeno, são aquelas devidas às concentrações das indústrias de todas as espécies, concorrendo para uma quase exclusiva participação dos radicados nas circunvizinhanças.

Assim, está formada a participação direta.

Por outro lado, as regiões afastadas dos centros industriais ou produtores, ficam impossibilitadas por completo de qualquer participação direta ou indireta concorrendo apenas à uma colateralidade, como intermediárias ou encarregadas — representantes.

Os produtos não chegam a alcançar aquelas regiões, haja vista a exigência do consumo ser maior do que a produção, provocando o desaparecimento dos manufaturados ou extraídos, dentro do raio dos centros produtores.

A necessidade das regiões desprovidas das produções se faz sentir cada dia mais e mais. A procura dos produtos, desperta atualmente, a urgência na transferência de filiais ou mesmo de novas indústrias concessionárias, ou filiadas, ou agrupadas.

As duplas trocas entre as nações do mesmo continente, constituem "sonho" prematuro, posto que ainda não conseguimos suprir as nossas próprias necessidades.

Façamos primeiramente "pago e satisfeito" o nosso brasileiro que há muitos anos espera a "sua vez", para então concorrermos nas "associações" internacionais que indubitavelmente poderão, um dia, ser de grande utilidade para nossa terra, para nossa gente.

Por enquanto, as pretensões latino-americanas de uma coesão industrial de dupla ou simples troca, encerra apenas um ensaio sem planificação, posto que não é possível estruturar-se uma ação, sem que seja elaborada uma planificação que venha abranger os prós e contras. . .

Construamos estradas e o nosso indubitável progresso rodará por elas. Planifiquemos nossos esquemas com dados e provas palpáveis, e a nossa condição humana galgará plano acertado.

Contribuamos todos com nosso tributo carinhoso de brasilidade, e o Brasil ocupará o lugar que efetivamente merece.

Od tego czasu po nasze dni liczba garimpejów i ilość wydobytych diamentów stale wzrasta.

Brylanty przestają być jednak modne i przemysłowi diamentowemu zaczyna zagrażać kryzys. Przyczyną kryzysu jest przede wszystkim malejące zainteresowanie niezwykle dotąd chłonnego rynku amerykańskiego. Bogaci biznesmani, dla których dowodem pozycji społecznej były dotąd kosztowne brylanty pochodzące z kopalń Afryki Południowej lub Północnej Brazylii, wolą dziś podróże po świecie, głównie do Europy. Przeciętnemu Amerykaninowi znacznie więcej splendoru przynosi wycieczka do Europy, niż... kosztowny brylant na palcu.

Stany Zjednoczone zakupywały dotąd jedną trzecią światowego wydobycia diamentów. Dzisiaj stosunek ten się zmienia i sprzedawcy wielkich koncernów toczą zażarte walki o zdobycie nowych rynków, tym razem europejskich. Od r. 1946 sprzedaż diamentów wzrosła trzykrotnie. Ostatnie jednak lata wykazują poważną niżkę. Tymczasem nowe metody wydobycia pozwalają na uzyskanie coraz większej ilości kamieni. Produkcja wzrosła w r. 1962 o 10 proc., wynosząc ogółem 5.270.000 karatów, wydobytych głównie przez koncern de Beersa, największy prywatny monopol na świecie. W magazynach tego koncernu rosną nadwyżki diamentów, a gremi handlowi usiłują przy pomocy gigantycznej kampanii reklamowej przekonać Europejczyków, że najlepszym zabezpieczeniem w tych niepewnych czasach i najlepszym prezentem z okazji uroczystości rodzinnych są brylanty i biżuteria.

Koncern de Beersa, kierowany przez "króla diamentów", Harry Openheimera kontroluje prócz diamentów olbrzymie imperium kopalń złota, uranu i miedzi, operując kapitałem ok. 3 miliardów dolarów. Ostatnia akcja reklamowa koncernu ma na celu przekonanie, że brylant nie jest bynajmniej dostępny jedynie dla bogaczy, ale że może być dostępny także dla przeciętnie zarabiających. Jeden z powodów tej kampanii stanowi okoliczność, że w magazynach koncernu rosną zapasy głównie mniej wartościowych kamieni.

Kryzys diamentowy to jeszcze jeden przyczynek do zachodzących na świecie zmian. Czy dotknie on również Brazylię?

S. BILINSKI

PRODUKCJA OBRABIAREK W POLSCE

Pierwsza polska fabryka obrabiarek została zbudowana w r. 1898 i stała się wkrótce jednym z najlepszych zakładów tego rodzaju w Europie. W okresie międzywojennym istniało na obszarze Polski 11 fabryk obrabiarek, które od r. 1918 do 1939 wyprodukowały łącznie 38.750 obrabiarek. Importowano w tym czasie 28.216 jednostek.

Po wojnie rozwój produkcji kształtował się następująco:

Rok	Ilość jednostek	w tys. ton
1937	4.300	1,7
1949	5.400	9,4
1955	14.500	27,8
1960	25.400	39,0

W roku 1946 produkowano w Polsce zaledwie 16 typów obrabiarek. Obecnie wytwarza się około 400 typów. W dziedzinie przemysłu obrabiarkowego Polska zajmuje wśród krajów europejskich ósme miejsce.

Eksport polskich obrabiarek wzrasta z roku na rok. W r. 1950 wyeksportowano 232 jednostki, w r. 1955 — 477, a w r. 1960 już — 1.726. Przewiduje się, że w roku 1965 wyprodukuje się 32.360 obrabiarek dla przemysłu metalowego i 4.300 dla przemysłu tworzyw sztucznych.

A MARCHA ECONÔMICA

Cont. da pág. 25

nosso país em todo o mundo, como produtor de primeira linha.

Dos campos nobres, as plantações gritaram alto o vigor da terra abençoada, proporcionando uma exportação segura e profícua, com produtos extrativos da melhor qualidade.

Das produções determinadas, as matérias primas e num crescendo cronológico, formou-se uma organização de fatos, coisas e pessoas, que atualmente se faz conhecer e contribuir às relações humanas de todo o mundo.

O desenvolvimento brasileiro, foi lento, inseguro e carecido de trato, de lapidação.

É recente a aplicação de conhecimentos científicos adequados aos determinados problemas, porém já se tornou rotina.

O continente europeu, que incontestavelmente dita a maioridade democrática, muito contribuiu e contribui para as diversas aplicações em nossa terra e sempre compareceu no ritmo desenvolvimento dos outros países.

Para o continente americano-norte, acorreram os anglo-saxões, holandeses e assim por diante, constituindo uma "mistura" de raças, usos e costumes e de conhecimentos propriamente ditos, que muito contribuíram para uma projeção retilínea uniforme de colonização e progresso.

O adiantado "anos-progesso", significa décadas, em relação ao nosso continente.

Enfim, já que nossa posição é a presente, lutemos arduamente, para que, pelo menos ela se mantenha no "status quo".

Porém, as exigências naturais do desenvolvimento solicitam mais e mais.

O homem precisa trocar produtos entre si, de si para com os outros e assim sucessivamente: — é o movimento natural do progresso.

Lamentavelmente, a América do Sul apresenta um índice mínimo de progresso em relação ao tempo e ao solo.

Fazendo um estudo de aplicação de capacidades humanas em relação à demografia local, poderemos verificar que o continente sul americano está realmente distante do aproveitamento real e efetivo do homem pelo homem.

Em exemplificação pura e simples, poderemos averiguar que no continente europeu, mil homens trabalham para aproximadamente cinquenta outros homens inativos.



NA NASZYM PODWÓRKU—NA NASZYM PODWÓRKU

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

... W SÃO PAULO:

W Teatrze Miejskim w São Paulo odbył się koncert znanej pianistki Ruth Slenczyńskiej, zawsze mile widzianej przez tutejszych melomanów. Slenczyńska, aczkolwiek urodzona w Stanach Zjednoczonych, mówi dobrze po polsku. W swoim międzynarodowym repertuarze udziela ona zawsze miejsca Chopinowi, który jest jej ulubionym kompozytorem.

Po raz ostatni p. Slenczyńska koncertowała w São Paulo w r. 1960.

W Klubie 44 odbył się we wrześniu pokaz krótkometrażowych filmów francuskich: Bernard Buffet, Zamki i rzeki, Piękny Paryż i Cudzoziemiec (balet Maurice'a Brejart'a).

... W RIO GRANDE DO SUL:

Ruth Slenczyńska koncertowała w Pôrto Alegre dwa razy ciesząc się niezmiennym gorącym powodzeniem. Artystka wystąpiła z niezmiennie urozmaiconym repertuarem składającym się z utworów Jana Sebastiana Bacha, Mendelssohna, Beethovena, Beli Bartoka, Liszta, Chopina i Villa-Lobos. Z współczesnych kompozytorów amerykańskich Slenczyńska zapoznała słuchaczy z Walterem Pistonem (Passacaglia) i Normanem Monathem (preludium).

Jak pisze recenzent Correio do Povo, Aldo Obino, artystka posiada doskonałą technikę, gra jej odznacza się subtelnością i jednocześnie brawurą, przypominającą Rachmaninowa.

W Pôrto Alegre odbyły się Akademickie Mistrzostwa Świata w szermierce. Drużyna polska spisała się doskonale zwyciężając zespołowo we florecie w składzie: Adam Lisewski, Ryszard Parulski, Janusz Różycki i Zbigniew Skrudlik i zdobywając tytuł akademickiego mistrza świata. Drugi złoty medal uzyskali studenci polscy w szpadzie, zwyciężając w składzie: Bogdan Gonsior, Janusz Różycki, Zbigniew Skrudlik i Adam Lisewski. W turnieju indywidualnym we florecie Zbigniew Skrudlik uzyskał drugie miejsce, zdobywając wicemistrzostwo świata.

Zbigniew Skrudlik oświadczył, że byłby zdobył pierwsze miejsce, gdyby w przeddzień turnieju nie zjadł zbyt dużo ananasów.

Polonia gauszowska przyjmowała polskich zawodników niezwykle serdecznie. Szczególny trud zadał sobie, jak zwykle, inż. Edmund Gardoliński, który wraz z prezesem Tow. Polonia, Władysławem Żurawskim, zorganizował m. i. wycieczkę ekipy szermierczej do Caxias do Sul, gdzie inż. Ruy Tedesco podejmował całe towarzystwo lampką wina i "galetto al primo canto".

... W BRASILII:

Znana rzeźbiarka polska Alina Slesińska przystąpiła do realizacji zamówionej przez miasto Brasilia rzeźby o tematyce "Macierzyństwa". Prasa brazylijska bardzo serdecznie powitała przedstawicielkę plastyki polskiej, wyrażając się z dużym uznaniem o jej dziełach, a naczelnny architekt Brasilii, Oscar Niemeyer, zaprosił artystkę na dłuższy pobyt w Brasilii.

... W PARANIE:

Polski Czerwony Krzyż ofiarował na rzecz pogrzelców parających różne towary, stano-

wiące równowartość 200 tys. zł. (10 tysięcy dolarów).

Grupa młodzieży polskiego pochodzenia, skupiającej się przy Tow. im. Tadeusza Kościuszki w Kurytybie, utworzyła zespół taneczny, którym kieruje młoda i utalentowana baletnica Hanna Stucznanowska. P. Stucznanowska ukończyła w zeszłym roku kurs tańców ludowych w Państwowej Szkole Baletowej w Warszawie.

V Festiwal Folkloru, który odbył się w Kurytybie we wrześniu br., zakończył się balem; wzięły w nim udział wszystkie grupy etniczne. Bal, urozmaicony występami artystycznymi, odbył się w salonych Towarzystwa Uniao Juventus i pozostawił niezapomniane wrażenie.

Jak nas informuje dr Edward Żelak prace związane z urządzeniem placu Polskiego w Kurytybie są już na ukończeniu. Wybudowano basen i fontannę. Wykonana też została, sporządzona z roślin ozdobnych, kwietna mapa Brazylii i Parany. Brak jedynie oświetlenia i pomnika Mikołaja Kopernika, wykutego z białego granitu, nie nadesłanego jeszcze z Polski. Na ostateczne doprowadzenie do porządku placu potrzeba kilkaset tysięcy kruczejów. Zbiórka trwa. Inauguracja placu nastąpi prawdopodobnie w tym roku.

Jak tam wybory?

W związku ze zbliżającymi się wyborami do rady miejskiej w Kurytybie zwróciliśmy się do dr Lucjana wasprzaka prosząc go o ocenę szans kandydatów pochodzenia polskiego.

— Polaków, posiadających prawo głosu, jest obecnie w Kurytybie ok. 12 tys. Licząc, iż do wyboru na radnego potrzeba od 1.200 do 2.000 głosów teoretycznie moglibyśmy przeprowadzić do rady miejskiej mniej więcej sześciu radnych. Ale tylko teoretycznie... W rzeczywistości dobrze będzie, jeżeli uda się nam wybrać jednego radnego pochodzenia polskiego ze względu na znaną opieszałość i niezrozumienie własnych interesów ze strony naszych rodaków. Tak np. obecnie nie mamy w radzie miejskiej żadnego radnego pochodzenia polskiego.

Jubileusz pracy zawodowej

Znany i ceniony artysta - grafik Henryk Mirgałowski, obchodził niedawno 35-lecie swej pracy zawodowej. Associação Paulista de Publicidade urządziła mu (11-VIII-63) serdeczne przyjęcie, na którym obecnych było 120 osób, co świadczy o niezwyklej popularności jaką się cieszy Mirgałowski w społeczeństwie paulistańskim. Przy kolacji, jaką z tej okazji urządzono, były mowy i mówki, w których podkreślano zasługi jubilata w dziedzinie grafiki reklamowej. M. in. przemawiali prezes APP, Alexandre Pe-



I. Narodowe Sympozjum Turystyki. Trzeci od lewej dr B. Ostoję Roguski dyrektor Touring Club'u Brazylii.

PIERWSZE SYMPOZJUM TURYSTYKI BRAZYLIIJSKIEJ

W dniach od 15 do 16 sierpnia br. odbył się w Brasilii pierwsze sympozjum turystyki brazylijskiej, w którym wzięło udział około 66 jednostek, m. in. Sekretariat Stanu do Spraw Turystyki w Guanabara. Departament Turystyki Stanów i Muncypiów, Touring Club Brazylii, Stowarzyszenie Właścicieli Hotelu itp.

Tematem obrad były aktualne sprawy turystyki krajowej i projekt prawa o powołaniu do życia Instytutu Brazylijskiego do Spraw Turystyki.

Musimy z przyjemnością zaznaczyć, że w prezydium zjazdu zasiadał nasz rodak, delegat Touring Klubu Brazylijskiego dr Bronisław Ostoję Roguski, który został obrany sekretarzem generalnym sympozjum.

(8)



rissinoto, B. Godoy Prado i José Fernandes Soares jak również uczeń "Mirgi" Fritz Lessin.



PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Tak się jakoś, niestety, składa w ostatnich czasach, że więcej mamy smutnych wiadomości z Polski, aniżeli wesołych.

A więc przede wszystkim urodzaj. Można już teraz stwierdzić, że rok bieżący jest drugim z kolei rokiem słabego urodzaju w rolnictwie i sadownictwie. Tylko wczesne warzywa i wczesne kartofle obrodziły w tym roku dość obficie.

W oparciu o wstępne wyniki omlotów szacuje się, że przeciętne plony czterech zbóż wyniosą 16,6 - 16,8 kwintali z hektara, podczas gdy w roku ubiegłym wyniosły ok. 16 kwintali z ha. W sumie tegoroczna globalna produkcja rolnictwa zarówno roślinna, jak i hodowlana nie tylko nie przewyższa niskiego poziomu zeszłorocznego, lecz w zależności od wysokości plonów kartofli i buraków cukrowych może się okazać nawet mniejsza! Jedyną nadzieją to obecnie poprawa warunków atmosferycznych we wrześniu i październiku, co może w pewnej mierze wpłynąć na zwiększenie plonów ziemniaka i buraków. Ale to nadzieja niewielka.

Druga niedobra wiadomość: dn. 15 września ukazał się w prasie krajowej komunikat o wyższych cenach detalicznych niektórych artykułów.

Uległa podwyżce cena detaliczna mleka spożywczego o 20 gr na litrze przy równoczesnym obniżeniu zawartości tłuszczu w mleku konsumpcyjnym. Podwyższono ceny na przetwory mleczne, a więc sery i śmietanę średnio o ok. 15 proc., jak również na denaturat, ocet i zapalki. Niezależnie od tego uległa wyższe średnio o 15 proc. cena wódki, spirytusu i wina.

W chwili oddawania tego numeru do druku nie mamy jeszcze w ręku prasy krajowej z dn. 15 września, tylko skąpy materiał agencyjny, z konieczności więc komentarz do tej sprawy pozostawiamy do następnego numeru. W każdym razie już dziś nasuwa się niewesoła uwaga, iż warunki gospodarcze ludności uległy obecnie dalszemu pogorszeniu, gdyż wspomniana w komunikacie wyższa za siłków rodzinnych, zwiększenie rent i emerytur oraz przyznanie dodatku kwartalnego dla wszystkich zarabiających poniżej 3 tys. zł miesięcznie nie będą w stanie zrekompenzować wyższych cen na artykuły pierwszej potrzeby.

(Kronikarz)

UCIEKINIERKI

Sprawozdawca żałuje, że nie może rozpocząć efektywnie: urodziła się tego samego dnia... Bohaterki reportażu przyszły jednak na świat w tym samym miesiącu, maju 1947 roku. Wychowane od małego w Warszawie, czy raczej przywarszawskich osiedlach, leżących nominalnie w granicach stolicy, zawsze tam mieszkali, w tych samych domach, wśród tych samych ulic, ludzi, murów i drzew — i stamtąd też uciekli. A oto obie historie, autentyczne we wszystkich szczegółach. Zmieniam imiona i pomijam dane ułatwiające identyfikację zawsze obecnym na scenie chórom sąsiadów.

I

Dokumentacja rozpoczyna się meldunkiem funkcjonariusza MO z 6-1-1963 r. godz. 18,00 o zatrzymaniu w kawiarni "Niespodzianka" (W-wa, MDM) "za włóczęgostwo i ucieczkę z domu" Joli A. ur. w maju 1947 r., zam... Proponuję zatrzymać w Izbie Dziecka i przekazać rodzicom".

Z notatki służbowej Izby z tegoż dnia wynika, że Jola była "bardzo brudna i bardzo umalowana" i że jej strój był (poza pończochami i budrysówką) kolektywną własnością koleżanek. Dziewczynka miała ze sobą koszyk z "Rzymianką" A. Morawii, z 6 gr 20 gotówką, była głodna i rozhisteryzowana. Schowanym lusterkiem próbowała przeciąć sobie żyły, pokaleczyła się tylko. Lekarz milicyjny, który zakładał opatrunk, poinformował, że zrobiła to samo, co Bardotka w "Prawdzie".

Wśród kartek i karteluszków w koszyczku znalazły się dwa listy miłosne w telegraficznym stylu od pewnego rekruta. Ponadto — kilka numerów telefonicznych z adnotacjami imion męskich własnych, jeden adres pewnego inżyniera, dwa, widocznie zapomniane, świstki z rozkładem zajęć. Kopiuje je —

Andrzej godz. 16,30 wtorek "Półka" (jest to nazwa kawiarni w CDT na półpiętrze — K. W.)

Witek godz. 16,30 środa, dworzec; fotograf, godz. 16,00, piątek, "pracownia" inżynier, godz. 16,00 "Niespodzianka".

Dr. godz. 15,00, piątek, przystanek (tu zmieniam konkretne określenie miejscowości — KW);

"Cichy", godz. 18,00, piątek; Andrzej, godz. 16,00, czwartek, "Półka"; Witek, godz. 10,00, poniedziałek, dworzec; Andrzej, godz. 16,00, sobota "6 piętro"; Zbyszek, godz. 9,00, czwartek, "Dworzec"; Andrzej, godz. 10,00, piątek, "Półka"; Fotograf, godz. 15,30, piątek, w domu; Witek, godz. 11,00, sobota, dworzec;

Miki, godz. 11,00, czwartek (tu adres domowy, który pomijam — KW);

Zbyszek, godz. 9,00, sobota; Dr. ul. Wyzwolenia.

Zawiadomiony telefonicznie ojciec zapowiedział, że przyjedzie po małą nazajutrz. Dodał, iż z domu uciekała już wielokrotnie i że ciąży na niej, zawieszony, zeszłoroczny wyrok Sądu dla Nieletnich o skierowaniu do zakładu wychowawczego. Do szkoły dziewczynka "chodzi ale nie uczęszcza". On, ojciec, "jest bezradny".

Określenie momentu, w którym rozpoczęła się niedobra historia Joli A., nie jest zapewne możliwe. Pedagodzy notują "pierwsze trudności wychowawcze", gdy dziewczynka miała lat 10 i z nie wyjaśnionych powodów a z budzącą niepokój zaciętością opłotkowała swą koleżankę: "ona ma drugiego tatusia, bo pierwszego jej mama wypędziła". W historii Joli A., która w ogóle ma zaskakująco konsekwentny przebieg i mogłaby służyć za casus w podręczniku pedagogiki specjalnej, jest to moment najbardziej może podręcznikowy. Plotka puszczona przez Jolę miała znaczenie kompensacyjne: ona sama straciła matkę w dzieciństwie, ojciec natych-

miast potem ożenił się z inną kobietą. "Pierwsze trudności wychowawcze" przypadają na czas, kiedy dziecko z tego drugiego małżeństwa zaczyna chodzić i kiedy ujawnia się jego uprzywilejowanie uczuciowe u rodziców.

Należy jednak wystrzegać się zbyt pochopnych wnioskowań. Ojciec Joli pochodzi z biednej rodziny hrabskiego rządcy, czasy, kiedy widział swego ojca czapkującego panu hrabiemu tkwią mocno w jego pamięci. Matka Joli, była prostą, niewykształconą kobietą, gospodynią domową. Powojenne możliwości awansu rozbudziły ambicje męża: fakt, iż jego druga żona jest kobietą wykształconą, wyzwolonego zawodu, odegrał niemałą rolę w jego autentycznej do niej miłości. I nie mniejszą zapewne w równie autentycznej nienawiści małej Joli. Można przypuścić, że ten układ uczuciowy prowadził do podważenia w umysłowości dziecka także i wartości, których nosicielką była macocha, osoba wykształcona, schludna i poprawna. Do przypisywania powodzenia życiowego macochy (kobiety, w rzeczywistości, bardzo zapracowanej i nie za wiele zarabiającej) raczej urodzić niż tamtym, "wrogim" i odrzucanym walam?

Jola jest ładną dziewczynką. Chłopcy w VI klasie zaczynają wyciągać ją na wagary. Jeszcze się uczy i zdaje, ale już ma "3" ze sprawowania. Wtedy następuje wydarzenie, które rodzina (ojciec) skłonna jest tłumaczyć troską o dziecko, a które jednak współdecyduje o niedobrym dalszym ciągu: siódmy rok nauki Jola spędza w internacie. Rozpręga się czy raczej ulegając pogłębiającemu podziałowi dom rodzinny dokumentuje w ten sposób swą bezradność i niechęć: ogranicza się do spełniania swych ustawowych obowiązków. Dziewczynka to pojmuję: nie zyska uczuć, ale będzie beztrosko eksploatować obowiązki rodzicielskie. W internacie jest takich jak ona, niegrzecznych i odtrąconych, więcej. W karbach dyscypliny — jeszcze się uczą, jeszcze zdają. Sprawowanie Joli jest coraz gorsze. Internat jej już nie chce. Wraca do domu.

Jola jest ładną dziewczynką i była już mowa o możliwych u niej podtekstach znaczeniowych urody kobiecej. Jej wpływ na męską połowę świata zgłębia, czternastolatka, na osobie kolegi szkolnego. Z pełnym powodzeniem i utratą dziewictwa. W szkole spędza trzy dni na miesiąc: wagary, kawiarnie, pierwsze znajomości "zewnątrz", pozaszkolne, z chłopcami 18, 19-letnimi. Na cenzurze półrocznej (1961/62) roi się od dwójek. Korzystając z nieobecności rodziny sprowadza do domu jakichś trzech młodzieńców, "znajomych z ulicy". Awantura, potem ucieczka z domu, z koleżanką. Jeszcze wraca sama, ale MO powiadomiła szkołę. Jolę usuwają. Ojciec ciągle obowiązkowy, już żaloszny, biega, prosi, znajduje inne liceum. Jest wiosna 1962 r. Jola z grupą dziewcząt i chłopców (starszych uczniów technikum) ucieka ponownie. Wędrują na Śląsk. Dwa tygodnie "kłowego życia, fajfów i wycieczek" (zwrot z listu Joli do młodego i dość dziwnego małżeństwa z Chorzowa). Pierwsze stosunki z MO. Izba zatrzymań. Powrót do domu. Do bezradności ojca dołącza swą dobrą wolę dzielnicowy referat opieki społecznej. Znajduje jej jeszcze jedną szkołę, gdzie będzie repetować VIII kl. ZHP bierze ją na wakacje, specjalne wakacje dla trudnych dzieci. Zważcie więc, jak dorośli wypełniają swe obowiązki, ludzie i instytucje — bo i wychowawcy we wszystkich tych szkołach życzyli-

wi są, rozsądni i pełni dobrej woli, starają się, zabiegają. I jak są bezradni.

Jesień 1962 r. 7 dwójek na pierwszy okres. Tej jesieni znajomości Joli znacznie się rozwinęły.

... Znacie wszyscy te lub inne "kawiarnie młodzieżowe". Co drugi, trzeci stolik — siedzą tam panowie w średnim i mocno średnim wieku. "Myśliwi". Są uprzejmi i zapobiegliwi. Skwapliwie udają, że wierzą, kiedy nieletnie dziewczęta dodają sobie lat i studenckiego splendoru. Taka wiara chroni przed prokuratorem.

Pan z prywatną willą, który podobno "chłopców lubi tak samo jak dziewczęta".

Rozwiedziony pan inżynier, który "wskażuje na każdą okazję" (wypowiedź własna).

"Pan naczelnik z agencji", który jest 65-letnim platonikiem — "kupił mi szpilki i nie za to nie chciał" (Jola). O takich opowiadali zazwyczaj, że przeklepać cały majątek też potrafia.

Pan artysta-fotografik (vide przytoczony wykaz zajęć), który robi pornograficzne zdjęcia...

W towarzystwie tego ostatniego znajdziemy Jolę po ponownej ucieczce, tym razem na Boże Narodzenie 1962. Doprowadzona do domu odsypia swoje w kuchni, wychodzi nazajutrz. Spędza wieczór w "Patrii", w towarzystwie pewnego krawca i dwóch "studentów", z zawodu ślusarzyków. Potem chodzi ulicami (pamiętacie tę zimę?), trzęsie się z zimna. Przychodzi do "Niespodzianki" już o 7-ej rano. Ktoś stawia jej kawę. Zaprasza do domu. Zawozi taksówką. Ale dom jest zajęty i trzeba "zaczekać na strychu". Czy nie wiedziała, po co idzie? Chyba wiedziała. Ale twierdzi, że się opierała, że ją zbili. (Sprawa o gwałt została umorzona z braku dowodów: kiedy się jest taką Jolą, trudno oczekiwać od sądu wiary).

To jest styczeń 1963 r., wtedy właśnie zaczęła się ta dokumentacja. Od tego czasu uciekała z domu jeszcze dwukrotnie. Ostatnim razem w lipcu odnalazł ją dziennikarz. Szczęśliwym trafem przyszło mi do głowy zatelefonować do pana inżyniera i uprzejmie poprosić o pomoc w poszukiwaniach.

... Była w towarzystwie 18-letniego chłopca, który również uciekł z domu (ze względu na nią — jak zgodnie twierdzą) i wspólnie z którym nad Zalewem Zegrzyńskim eksploatowała podobno dobre serce kierownika ośrodka wczasowego. Wybierali się na zarobek. Zbiór truskawek. Wyrzuli wielkie zdziwienie, że już się skończył. Twierdzą, że się kochają. "Z żadnym jeszcze nie chodziłam całe 3 miesiące".

Nie doprowadzałem ich na milicję. Zaproponowałem odwiezienie do domu i umówiłem się na południe. Wiedziałem, że przyjdą. Stałeli przed murem...

Jola A. zaszła już bardzo daleko. Ta inteligentna, zdolna, ładna dziewczyna, przed którą życie powinno być stać otworem, ma przerażenie i martwość w oczach. Wyrobiła sobie obraz świata, jaki mieć może młoda kotka na wiosnę. Mściła się na swym dzieciństwie, na swej rodzinie, wartościach przez nią uznawanych. To już teraz nieważne. W świecie, w który weszła, ufna w swe przewagi — była bita i poniewierana. W tym świecie, w którym jedyną legendą jest historia "Dzonki, co znalazła starszego faceta z forszą" — doznała beznadziejności. Może nawet ta trzymiesięczna miłość jest chwytaniem się ostatniej słomki.

Jola A. jest głęboko zdemoralizowana. Zrównoważyć tę demoralizację mogłyby chyba bardzo tylko wielkie uczucia, na które nikogo nie stać: ani w świecie, w którym się obracała, ani w domu, z którego uciekała, ani, na pewno, w zakładzie, gdzie można by ją umieścić. Joli A. nie da się już wychować. Nie jest dzieckiem. Jest przedwcześnie dorosła i zupełnie do dorosłości nie przygotowana. Jest na tyle przerażona, że może tym razem uda się ją zmusić do jakiejś nauki, a

PRZEGLĄD POLSKI INFORMUJE:

Nowy rok szkolny w Polsce. Rozpoczął się w Polsce rok szkolny 1963/1964. We wszystkich szkołach ogólnokształcących i zawodowych uczy się od września 8 milionów osób. Po raz pierwszy progi szkolne przekroczyło w tym roku 750 tys. uczniów I klasy. W nowym roku szkolnym do pracy w szkolnictwie przystąpiło ogółem 200 tys. nauczycieli.

Umarł Karol Frycz. W Krakowie zmarł Karol Frycz, twórca scenografii polskiej, długoletni dyrektor Teatru im. Słowackiego i dziekan Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, jeden z najznakomitszych artystów polskiego teatru XX wieku. Liczył lat 86. Już jako młody chłopiec związał swe losy z Krakowem. W tym właśnie mieście, jako uczeń Wyczółkowskiego i Mehoffera, kończy Akademię Sztuk Pięknych i studiuje historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kolejno studiował w Monachium, Londynie, Paryżu i Wiedniu. Zajmuje go grafika, jest jednym z odnowicieli polskiej architektury wnętrz w zakresie malarstwa ściennego i witrażownictwa. Jako autor, aktor i plastyk współpracuje ze słynnym kabaretem "Zielony Balonik", podróżuje po Chinach i Japonii, pisze ciekawe reportaże. Mimo tak wielostronnej działalności pozostanie w naszej pamięci jako przede wszystkim człowiek teatru. Jako scenograf debiutuje w r. 1906 w Krakowie, w r. 1912 przenosi się do Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie inscenizuje 137 sztuk. Wraz z jego śmiercią Polska traci wielkiego artystę, jednego z tych, którzy przez pół wieku kształtowali jej oblicze.

Czyste aluminium. W jednej z fabryk w Polsce podjęto produkcję aluminium o wysokim stopniu czystości: 99,99 proc. Produkt ten jest dwa razy droższy od zwykłego aluminium.

Polskie konie podobają się i smakują. Konsumpcja mięsa końskiego w Polsce jest bardzo znikomą. Za granicą natomiast polskie konie, i to zarówno rzeźne jak i hodowlane, robią karierę. Żywe te przesyłki odchodzą przeważnie do Francji, Belgii i Włoch.

Inwazja jeleni na Tatry. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat zadomowiły się na dobre w środkowej części Tatr jelenie. Zwierzęta te żyły dawniej tylko w rejonie Morskiego Oka i w zachodnim krańcu polskich Tatr, o-

potem jakiejś pracy. Jest na tyle przerażona, że może jednak — odradzić.

... Przed paroma miesiącami, przez nikogo nie proszona i nie poszukiwana, Jola A. przyszła do Izby Dziecka MO przy ul. Wiśniowej 44. Zmęczonej kobiecie, która spędza tam długie godziny, usiłując odwrócić rodzaje się tragedie życia, przyniosła bukiet kwiatów.

("POLITYKA")

Krzysztof Wolicki

becnie można je spotkać na Hali Pysznej, Kondratowej, a nawet w całym rejonie Krowki i Giewontu.

CICERO MA OSIEM ŻON

Dok. ze str. 19

nym mu przez właścicieli ziemskich z południa Brazylii, dla których nabywał bydło. Wszyscy znali też teczkę, w której nosił banknoty.

Otóż zdarzyło się pewnego wieczora, że João Gago musiał pojechać z Gurupi do jakiejś położonej dalej miejscowości. Podniósł palec do góry i udało mu się wprosić na łebka do Simki, którą udawało się do Belém dwóch młodzieńców. Przejechali razem kilkanaście kilometrów i wstąpili na małą czarną do przydrożnego baru. W godzinę później Simca ruszyła w dalszą drogę, ale już bez Gago, który wrócił na piechotę do Gurupi i złożył komisarzowi policji doniesienie, że chłopaki z Simki zrabowali mu teczkę zawierającą dwa miliony sześćset tysięcy kruczejów.

Komisarz (w stopniu sierżanta) nie miał wątpliwości. Za pośrednictwem radiostacji Rodobrás połączył się z komisarzem w Araguaina i poprosił o zatrzymanie i przekazanie mu następnie dwóch podróżnych jadących Simką, co też zostało wykonane. Wezwani do wytłumaczenia się młodzieńcy zaprzeczyli wszystkiemu i opowiedzieli swoją wersję wydarzeń: handlarz wołów zaprosił ich na kawę, poszli wszyscy, napili się i Gago znikł. Czekali godzinę i nie mogąc się doczekać gościa ruszyli w dalszą drogę. Nieco później znaleźli na tylnym siedzeniu teczkę. Otworzyli ją, zawierała jedynie stare papiery. A ponieważ była to stara teczka bez wartości wyrzucili ją na drogę. Nic więcej nie wiedzieli.

Sierżant nie zadowolili się tym tłumaczeniem i postanowił, jak to czyni policja we wszystkich stanach, nakłonić ich do przyznania się do winy. W ciągu trzech dni chłopcom wlepiono odpowiednią porcję kijów, wieszano ich z lekka i stosowano różne tortury. Zawsze z negatywnym rezultatem. Na czwarty dzień pod wpływem nagłego natchnienia sierżant postanowił dokonać rekonstrukcji przestępstwa. Kierownik miejscowego oddziału Banku Brazylijskiego wystarał się o dwa miliony sześćset tysięcy i João Gago w obecności obu "napastników" zaczął ładować pieniądze do teczki. A gdy wpakował milion dwieście tysięcy teczka była już pełna. João Gago spocił się z wysiłku, ale nie zdołał umieścić w teczce więcej, niż półtora miliona...

Udało mu się jednak zwiać.

(Opracował: As)

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413

SÃO PAULO

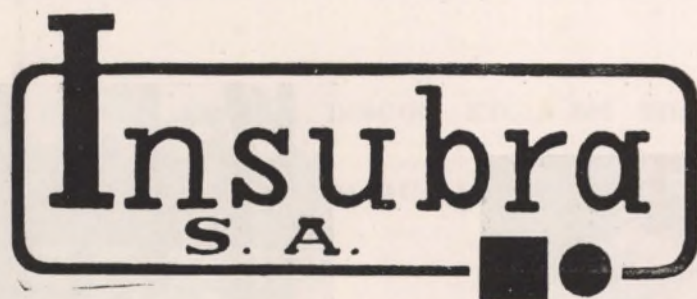
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.



Lucyna Winnicka i Tadeusz Pluciński w nowym filmie polskim: "Pamiętnik pani Hanka" według powieści T. Dołęgi-Mostowicza.



Fragment z rynku w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Z lewej zabytkowa kamieniczka "Pod Krzysztofem".



Tatry — widok na dolinę Dunajca.



W ośrodku campingowym w Zalesiu Górnym (woj. warszawskie).

FABRASA S/A

FÁBRICA BRASILEIRA DE LÂMINAS

SÃO PAULO

Avenida Francisco Matarazzo, 718

FONE: 62-0673

FABRICANTES EXCLUSIVOS DAS AFAMADAS LAMINAS DE BARBEAR JOHNSON & JOHNSON

**LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS, ETC., EM TODAS AS ESPESSURAS E
DUREZAS — MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA TODOS OS FINS.**

LAMINAÇÃO DE METAIS

ELMET S.A.

ESCRITÓRIO E VENDAS: — RUA QUIRINO DE ANDRADE, 219,

CONJUNTO 74 — TELEFONE: 33-4936

Tricot-lã

sweater
original

